

PLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 21 MARCA 1931 ROKU

NR. 12

TREŚĆ NUMERU: Niedocenione — *Jadwiga Kravczyńska*. Poezje: „Piranesi“, „Sarkofag pogański“ — *Zuzanna Rabska*. Leszek (nowela) — *Władysław Rymkiewicz*. Porządki — *Janina Wasilewska*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Sen o wielkości — *Stefanja Podhorska-Okolów*. „Surprise Party“ w dniu imienin — *M. Znatowicz-Szczepańska*. Z teatrów — *S. P. O.* Przedwiośnie. Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Nasze okna — *M. Dobrowolska*. Nauczmy się mieszkać — *N. J.* Rola wody w ogrodzie warzywnym — *Zofja Wróblewska*. Wędliny trwałe — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek „Mody i roboty“.

NIEDOCENIONE

Kobiety często narzekają, że ich praca jest niedoceniona, że ich zalety ducha są lekceważone, że świat nie dostrzega ich wielkiej roli na widnokręgu społecznym, że, jednym słowem, są zawsze i wszędzie pokrzywdzone, spychane na niższe szczeble, niedopuszczane do stanowisk, na których dopiero w pełni mogłyby służyć społeczeństwu, zużytkować swe zdolności, zajaśnić... Niedocenione, zdruzgotane przez walkę o byt, tworzą jakby pewną odmianę już niemodnych dziś, a ongi romantycznie cierpiących, „kobiet niezrozumianych“.

Takie narzekania ujawniają najczęściej to, co warto nazwać „salonowym“ stosunkiem do pracy. Kobiety nieraz robią wrażenie oczekujących na to, że będą odbierały w zawodowej pracy same hołdy; że samo zjawienie się ich w biurze, czy na posadzie jest czemś tak nadzwyczajnym, iż zasługuje na uznanie i podziw. Tak, jak dawniej, siedząc na kanapach w salonie, oczekiwały na hołdy wielbicieli i brak takich hołdów byłby śmiertelną obrazą... a sam fakt istnienia pięknej pani był wielką łaską dla otaczającego świata. Zjawi się, skinie — wszystko jest na jej usługi.

Kobiety wciąż jeszcze na polu pracy lubią i chcą uważać się za istoty wyjątkowe, wciąż jeszcze odkrywają Amerykę. Warunki i okoliczności, z jakimi spotykają się w pracy, wydają się im jakby umyślnie tylko dla nich ukute. Mają tę pretensję, że to właśnie dla nich stworzono, czy przeciw nim skierowano taki układ rzeczy.

Tymczasem wiele trudności płynie może właśnie

z tego, że warsztaty pracy dotychczas nieprzystosowane były do pracownic-kobiet. Nie dla kobiet, albo przeciw kobietom, lecz niezależnie od kobiet, *bez nich* powstawały warunki nowoczesnej pracy zawodowej.

Daleka jestem od twierdzenia, jakoby uznanie w społeczeństwie, w pracy zawodowej, na jakimkolwiek stanowisku było rzeczą łatwą do zdobycia, do osiągnięcia — rzeczą, która sama z niczego przychodzi. Wprost przeciwnie: twierdzą, że są to sprawy trudne, że uznanie w pracy trzeba najczęściej ciężko sobie wywalczać, choćby zresztą najbardziej pokojowymi, bynajmniej niewojowniczymi sposobami. Niekażda kobieta to potrafi — dodam zaraz — także niekażdy mężczyzna.

Wśród naprawdę niedocenionych, naprawdę pokrzywdzonych w walce o byt znajdują się zarówno mężczyźni, jak kobiety. Ileż to egzystencji wprost wykolejonych, zrujnowanych wśród mężczyzn, którzy nie zrealizowali swych nadziei i ambicji zawodowych! Albo zgorzkniałych, zawistnych, narzekających zawsze na kogoś i coś, co stanęło wpoprzek ich karjerze!

To coś — to najczęściej, albo brak kompetencji zawodowych — do czego mało kto na świecie się przyzna — albo brak pracowitości, rozumu, charakteru.

Bywa jeszcze coś: tak zwany zły los, który piętrzy przeszkody, wymyśla zbiegi okoliczności, intrygi i choroby. Ale istnieje też dla równowagi i owo bąjeczne szczęście, dzięki któremu człowiek robi nie spodziewany wielki krok naprzód, omija przeszkody,

zyskuje bez walki nowe pozycje na rachunku życiowym...

Te okoliczności w walce o byt, na polu pracy jednakowo odnoszą się do kobiet, jak do mężczyzn. Wyścig do mety jest zażarty, rywalizacja bywa podstępna, walka bezwzględna. Konkurencja wspólna jest obu płciom.

A nawet, zaryzykowałabym tu twierdzenie, za które mogę być wyzwana na pojedynek solidarności kobiecej, iż tak ostrej broni, jaką posługują się konkurujący ze sobą na rynku pracy mężczyźni, nie zwrócą oni prawie nigdy przeciw kobiecie. Tak nieliczącej się z niczem bezwzględności, takiego brutalstwa nie zastosują, może zresztą tylko dlatego, że większość kobiet już przy bylejakim zastraszeniu, przy najłżejszym niepowodzeniu traci pewność siebie, zniechęca się i zawraca z obranej drogi.

Ale — mówią pokrzywdzone — mężczyźni, jakkolwiek mogą przeciw sobie walczyć, koalizują się jednak przeciw kobietom zasadniczo. Bronią im dostępu na rynek pracy, nie dopuszczają do lepszych stanowisk, do wpływów, do zyskownych posad.

Tak, niewątpliwie, istnieje jeszcze pewien „uraz psychiczny“, jakiś guz na mózgach męskich w stosunku do udziału kobiet w życiu społecznym i zawodowym, w świecie interesów i organizacji rządzenia. Istnieje jakaś tępa zawiść kobiet jednych przeciw drugim, tych, co „za nic na świecie“ nie dałyby się leczyć kobiecie-lekarzowi, co woła fryzjera, niż fryzjerkę, co „nie uznają“ profesorów-kobiet dla swych córek. Przesady i upośledzenie umysłowe zawsze towarzyszyć będą tak zwanej walce płci. Ale czyż nie bywa ona stokroć gorsza na terenie życia prywatnego i rodzinnego — a jednak nie zawsze tam zwycięstwo w męskich pozostaje rękach!

Nieuznane, pokrzywdzone pracownice, gdyby starannie i bezstronnie zanalizowały swoją sytuację, w dziewięciu na dziesięć wypadkach musiałyby mieć tylko słuszne do samych siebie pretensje.

Jeśli są usuwane w cień, lekceważone i spychane na gorsze stanowiska, to widocznie nie rozwinęły w walce o byt dość kompetencji, energii, pracowitości, zręczności i charakteru. Często bardzo nie liczyły się z rzeczywistością, która miała różowe pozory, załamały się przy zetknięciu z niemaskowanymi brudami, trudnościami i t. p. Walka jest ciężka, wymaga nieraz „twardych łokci“, ale takie są właśnie realne warunki życia. Może kiedyś, w dalekiej przyszłości, świat będzie lepszy, uczciwszy, delikatniejszy — dziś, by sprostać wyścigowi pracy, by dojść do rezultatów na jakimkolwiek bądź rynku pracy, trzeba opanować istniejące, rzeczywiste warunki, trzeba je przegryźć — albo ustąpić.

Otóż bardzo, bardzo często — nieprzystosowanie się do rzeczywistości warunków pracy i walki o byt jest owym kamieniem, o który potykają się bez nadziejnie dążenia, zdolności i aspiracje kobiet. Słabość

odporu leży w nich samych raczej, niż w danej sytuacji; w braku woli, w źle pojętym nałogu wstydlivosti, w nieopanowaniu nerwów, braku busoli wewnętrznej, niedość jasnym uświadomieniu sobie swych własnych celów i ich prawdziwej wartości. Przecenia się tedy często drobiazgi, zewnętrzne dokuczliwości, niemiłe otoczenie. Popełnia się w rozdrażnieniu pomyłki, które wychodzą na szkodę poważnym sprawom. Nietaktowne kroki mszczą się na istotnych interesach pracownicy. Czulostkowość podrywa i niszczy wytrwałość.

Cóż może zabezpieczyć najlepiej przed temi psychicznymi załamaniem, wahaniami, dolegliwościami, osłabiającymi zdolność do walki o byt, obniżającymi wartość kobiety na polu pracy?

Przedewszystkiem — kompetencja. Doskonała znajomość swej specjalności zawodowej, opanowanie jej, dobra znajomość terenu pracy i metod działania. To niezwykliczone niemal wartości w walce o byt.

Dadzą one możliwość zwycięstwa, nawet wśród klęsk, zawsze mogących nadejść wskutek jakichś ogólnych warunków społecznych, bo dadzą konieczną odporność i wytrzymałość, zdolność zaczynania nawiązywania, jeszcze raz. Po nieudanych próbach, nowe usiłowania.

Co najważniejsze, ze świadomego posiadania jakiegokolwiek umiejętności (umieć choćby zamiatać, prac, biegać, byle dobrze!) płynie ta psychiczna pewność siebie, owo stanowisko wobec zewnętrznego świata, co nakazuje szacunek i zaufanie w zdolność do czynu, do praktycznych rezultatów.

Móc sobie powiedzieć: umiem to dobrze robić, potrafię, dam sobie z tą pracą radę — ma niesłychane psychiczne i faktyczne znaczenie. Wiara w zwycięstwo jest conajmniej połową zwycięstwa.

Wobec kompetencji znikają lub upadają nawet nieuniknione, zdawałoby się, klęski. Na rynku pracy jednym z najstraszniejszych jest nieublagane prawo starości. Poszukuje się z reguły pracowników młodych i, jeśli chodzi o pracownice, wyróżnia się przystojne, lub przynajmniej dobrze się prezentujące. A jednak znam kobiety stare i brzydkie, pozbawione nawet wszelkiej elegancji, które znajdują posady i są bardzo cenione, gdyż pracują doskonale i z wielką umiejętnością. Energja duchowa, oparta na przeświadczeniu własnej rzeczywistej wartości, daje im konieczną sprężystość, opierającą się zwycięsko przy padłościom wieku.

Ale odpaść też musi przecenianie iluzorycznych zalet własnych, jak odpaść musi i ów luby dyletantyzm, owo pieszczanie się ze swoją osobką, owo łatwe wyłgiwanie się z obowiązku dla błahostek i pozorów, co przecie nie tak rzadko się spotyka.

A co powiedzieć o owych słynnych kierowniczych stanowiskach, które „nie dostają się“ kobietom?

Nie należy w nieskończoność przypominać tych samych faktów, ale jednak są to rzeczy jeszcze aktu-

alne, że naprzykład na konkursy o posady dyrektorów szkół, nawet żeńskich, zgłasza się minimalna ilość nauczycielek. Czy zgóry przesądza, że „i tak“ nie dostanie się im takie stanowisko? Raczej co innego: cofają się przed szerszą odpowiedzialnością.

Mężczyźni na stanowiskach kierowniczych w różnych dziedzinach — o ile nie są to synekury — pracują po kilkanaście godzin na dobę, latami całymi nie mają czasu korzystać z urlopów, nie mają czasu na życie rodzinne, ponoszą olbrzymie odpowiedzialności moralne i materialne. Kobiety cofają się przed zbyt uciążliwą odpowiedzialnością. Wolą mieć mniejszy dochód, mniej wpływów, mniej rozgłosu — lecz spokojniejsze życie. Ambitnych jest stosunkowo niewiele. Upartych i walczących o upatrzone stanowisko — jeszcze mniej.

Nawet o wyborze zawodu decyduje u wielu kobiet minimum zainteresowania daną pracą. Zdawałoby się, że powinno być przeciwnie! A jednak ileż z nich całe życie pozostaje przy maszynie do pisania, przy najmniejszym biurczku, nie dbając nawet o lepsze materialne warunki bytu, byle po godzinach biurowych „nie myśleć o niczym“. A zawód umiłowany absorbuje przecież stale, stanowisko kierownicze pochłania myśli bez przerwy, zabiera człowieka całego na swoje usługi, podporządkowuje jednemu celowi siły i działalność.

Co działa hamująco na kobiety? Co odbiera im chęć dokonania rzeczy wielkich, zdobycia wybitnych miejsc w społeczeństwie, zabieraniu decydującego głosu w sprawach ogólnych?

Nie jest to, ściśle biorąc, brak pracowitości. Raczej brak odwagi do wyjścia na szerszy okrąg świata. Niechęć zmuszenia się do spojrzenia w oczy wypadkom i zagadnieniom tak rozległym, tak znacznie z pozoru odległym od opłotków codziennych zdarzeń. Pewne (jednak!) lenistwo duchowe do ograniczenia pierwiastka osobistego na rzecz spraw powszechnego znaczenia.

Zadowalanie się najbliższymi widnokręgami, rolami drugo i trzecioplanowymi... przeniesione prawdopodobnie z dawnych stosunków rodzinnych i do pracy zawodowej.

Tymczasem dziś, w okresie wzmożonej konkurencji na rynku pracy, poważnie pojęta praca zawodo-

wa, która ma dać rezultaty praktyczne i moralne, wymaga ustawicznego postępu, ciągłego pogłębiania, odświeżania wiadomości, uzupełniania ich nowymi zdobyczami, jakie przynosi każdy bodaj dzień. Zastosujmy to do wszelkich zawodów: do modniarstwa, do chemii przemysłowej, do mleczarstwa, do literatury, do prasowania i lotnictwa... Jest to warunek nieodzowny.

To właśnie kwestja kompetencji, kwestja zdobycia i rozszerzenia zawodowych zdolności, wzmocnienia ich energetycznych właściwości. Droga kuszenia się o pokonywanie coraz większych trudności. Świadomie. Celowo.

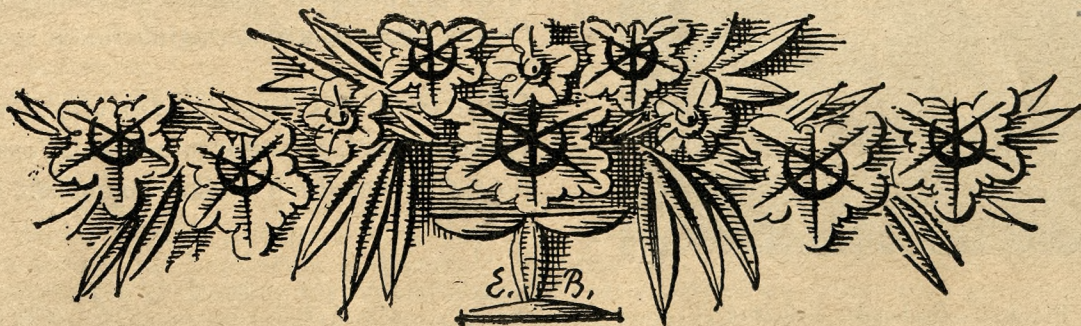
Przychodzi wtedy przeświadczenie, iż ogarnia się wciąż obszerniejsze widnokreśli pojęć i zainteresowań. Ma się świadomość swych możliwości i sił. Wie się, iż się jest współczynnikiem wielkiego, rosnącego świata i że w jego powszechnym ruchu ma się swoją własną drogę i rolę do wykonania. Spostrzega się, że są rzeczy i sprawy, naprawdę wielkie, dla których żyć warto, którym należy poświęcić swą energję i które przerastają o całe góry nasze drobne, osobiste spraweczki.

Z tego poczucia czerpie człowiek konieczny rozpęd do działania i do zdobywania należnego sobie miejsca na polu pracy. Nie uchyla się od odpowiedzialności. Przyjmuje ją odważnie, jako próbę, którą powtórzy, jeśli trzeba, nie raz, lecz sto razy. Troszczy się zaś przedewszystkiem o to, by wykazać to, co potrafi w danej dziedzinie w sposób możliwie doskonały. Pozwala się pochłonać swemu dziełu, staje się ono dlań ważniejsze, niż małostkowe sprawy codzienne. Zapominając o sobie — tworzy; swoje własne życie przelewa w nowe formy ludzkości.

Dziś kobiety w pracy zawodowej nie są już nowicjuskami. Wymaga się od nich czegoś więcej, niż od debutantek. Komu zaimponuje teraz ukończenie uniwersytetu, albo 10 napisanych, czy nawet z powodzeniem wydanych książek? Imponuje jakość człowieka i wyróżniająca się jakość jego dzieła, wpływająca przedewszystkiem z kompetencyj i ustawicznej pracy nad sobą.

Te, które w ten sposób pojmują swą pracę zawodową, walczą i borykają się z wielkimi trudnościami — ale nie narzekają, że są niedocenione.

Jadwiga Krawczyńska.



PIRANESI

*Kozy brodate na Campo Vaccina,
Łuk Tyberjusza i Świątynia Zgody —
Termy Agryppy, groby, urny, schody,
Aleje kolumn, co we mgłę gdzieś giną!*

*Ręka artysty, ryjąc kreski w trudzie,
Świat starożytny wskrzesza i odtwarza —
Stary Rzym budzi się na znak sztycharza,
Żyją kamienie, tak, jak żyją ludzie!...*

*Niema tu barwy na tych żółkłych sztychach,
Które nam handlarz uliczny zachroła —
Lecz świat umarły idzie ku nam zdala,
Poezja ruin zwierza się nam zcicha...*

*Jest chwiła, kiedy Rzym, gasnąc poroli,
Na siedmiu wzgórzach, z różami wieczoru,
Jak sztych szarzeje zblakły, bez koloru,
Pelen minionych wieków melancholji...*



G. B. Piranesi: „Świątynia antyczna“.



G. B. Piranesi: „Grobowiec antyczny“.

SARKOFAG POGAŃSKI

*Przedziwny to sarkofag! Miast śmierci ponurej,
Klepsydry, trupich czaszek i suchych piszczeli,
Feston z winnych gałęzi wykwita z marmuru
I bogactwo dojrzałych gron się na nim bieli!*

*Wszystko tchnie tu radością i błogim dosytem,
Jak słońcem wyzłocony dzień parnego lata —
Ziemia darzy umarłych swym plonem obfitym
I wesoly im wieniec z winnej łozy splata!*

*Uciechą Djonizosa ten marmur aż dyszy,
W swoim mrokiem zastanej muzealnej ciszy,
Płodne życie tu z śmiercią obchodzi swe gody!*

*Chyże kroki Bakchusa już dzwonią gdzieś w dali...
Tylko patrzeć, jak wtargnie z triumfem do sali,
By z gron pękających słodkie porociskać miody!*

LESZEK

Novela.

3)

— U obcych! — przerwała z gniewem, obrażona. I wciąż nie zmieniając swej odpychającej, wyniosłej pozycji, wzruszyła lekceważąco ramieniem i ostrzegła z chłodną zyczliwością: — Postępujesz bardzo nierozsądnie. Na twojem miejscu właśnie okazałabym się wielkoduszną i nie sprzeciwiałabym się, żeby bywał tam, gdzie ma chęć bywać i gdzie przychodzi za głosem serca. Tylko w ten sposób możesz go sobie zjeść. W przeciwnym razie będziesz w nim miał wiecznego wroga.

Oswobodziwszy ręce z jedwabnych oplotów szala, sięgnęła po papierosa na biurku.

„Wiecznego wroga“ — „wiecznego wroga“ — huczało w pokoju.

Przez białe kłęby dymu, niby skroś mgłę, widział Tolę, zagadkowe bóstwo życia, miłości i śmierci. Słyszał jej głos, który melodyjnie ogłaszał mu wyrok.

— Sprawi ci to może przykrość, gdy się dowiesz, że on nie ma ochoty jechać z tobą zagranicę... Wolalby jechać z nami. Wybieramy się w tym roku z Martynką nad Atlantyk. Ostatecznie, nie powinienes się dziwić, że jest mu miłe towarzystwo Martynki. Niema też w tem chyba nic złego, że dzieciaki się polubiły i zaprzyjaźniły?...

Mówiąc, wydmuchiwała z niedbałym wdziękiem długie pióropusze dymu i śledziła z upodobaniem, jak układają się w sine i błękitne smugi. — Zdaje mi się, że nadarza ci się właśnie doskonała okazja do zaskarżenia sobie wdzięczności syna!... Jestem pewna, że gdybyś mu pozwolił w tym roku jechać z nami...

Nagłym, stanowczym ruchem ręki przekreślił ten projekt. Zmrużyła oczy, mierząc go nienawistnym spojrzeniem. Potrząsnął uparcie głową na znak, że się nie zgadza.

— Byłeś i jesteś despota! — rzuciła mu z oburzeniem w twarz. Papieros drżał w jej trzęsącej się ręce, zdusiła go gwałtownie w popielnicze i zpowrotem owinęła się ściśle szalem, krzyżując ręce na piersiach.

— Nie! Nie jestem despota! Ale nie mogę na to pozwolić... Wyrządziłaś mi już raz ciężką krzywdę, zniszczyłaś moje szczęście. Przebaczyłem ci to... Teraz znów chcesz mi odebrać Leszka. To już za wiele!... Sama pomyśl!... Nie mogę się na to zgodzić. Mnie też się jeszcze coś należy od życia. Tego wymaga prosta sprawiedliwość. Dlatego Leszek zostanie przy mnie — oświadczył twardo. — Jego miejsce jest przy ojcu!...

— Biedny chłopak! — westchnęła z politowaniem. — Nie pozwalasz mu się ruszyć krokiem z domu! Uważasz, że nikt inny, oprócz ciebie, nie powinien mieć na niego wpływu!? Ale pomyśl przecie, że ty go zanudzasz swoją osobą!... zanudzasz go!... I wreszcie to się może bardzo smutnie skończyć...

— Jak to rozumiesz?

— Tak, że pewnego dnia, poprostu, ucieknie ci z domu...

— Mówisz od rzeczy — odparł, błędąc, owładnięty przerażeniem.

„Ucieknie ci z domu!“ — wołał djabelski głos na wszystkie strony świata. „Ucieknie ci z domu!“ Ona była temu winna, ona buntowała to dziecko!

Nienawiść przeciwko djablicy wybuchła żrącym płomieniem w sercu. Nienawiść i żądza odwetu.

— I jeśli nie mogę mu pozwolić jechać z wami — mówił mściwie — to również dlatego, że nie uważam, aby twoje towarzystwo było dla niego odpowiednie... tak!...

Wstała. W monarszej pozie obrażonego majestatu.

— Jak śmiesz?... Nie pozwolę, żebyś mnie obrażał! Co to znaczy?

Parsknął krótkim, szyderczym śmiechem.

— Ty już wiesz!... To znaczy: dancinigi!... bridge!... zabawy do białego rana!... i rój wielbicieli!... Atmosfera zupełnie nieodpowiednia dla siedemnastolatniego chłopaka!... Sama to powinnaś dobrze rozumieć!

— ... „nieodpowiednie“... „atmosfera“?... — szedła przez zaciśnięte zęby. — Kto ci dał prawo?... Nie cię to nie obchodzi!

Mówili teraz jednocześnie, w gniewie i podnieceniu.

— Obchodzi mnie przez wzgląd na Leszka!

— Nic ci to nie pomoże! Później czy wcześniej ucieknie od ciebie!

— Będę już wtedy wiedział, gdzie go szukać. Siłą go sprowadzę do domu!

— Ha, ha, ha!... Siłą?...

— Tak!... choćby przez policję! Ostrzegam cię! — ... Ha, ha, ha, ha, ha, ha! — zanosila się od szyderczego śmiechu. — „Siłą“!... „przez policję“!... — natrząsała się nad nim, pobladłym ze wzruszenia, stojącym z zaciśniętymi pięściami na środku salonu.

— To jest moje prawo — belkotał. — Było postanowione, że on ma zostać przy mnie...

— Było postanowione?... I cóż z tego? — zawołała z pasją. — Cóż z tego, że tak było postanowione?... Jeśli on cię nienawidzi?... Jeśli nie może znieść twojego widoku!...

Uniesiona gniewem, złowrogo piękna i szalona, zmierzala bliżej ku cofającemu się mężczyźnie i syczała, syczała...

— Czy tego nie widzisz, że on cię przecie nie kocha? Czy jesteś głuchy i ślepy?... On cię nie znosi! Zatrujesz mu życie, zmuszając go, żeby mieszkał przy tobie!... Ja ci to mówię!... Ja, która go dobrze znam, mówię ci to: on cię nigdy nie...

Sędzia nakrył uszy rękoma.

III.

Po nieprzespanej nocy — mdła szarość świtu była męką nie do zniesienia. Z brzaskiem wstającego dnia wylaniała się z czeluści nocy — rzeczywistość, potworna. Nocą, można było myśleć, że to jakiś zły sen, okropny koszmar. Ze świtem, potwór ucieleśniał się i objawiał ojcu prawdę, straszliwszą nad śmierć. Tysiącem gigantofonów ryczał piekielny głos: ... „Ucieknie ci z domu!“ Sędzia zwłókł się z łóżka i zmierzał chwiejnym krokiem do okna. Rozsunawszy zasłony, otworzył okno i wdychał chciwie rześkie, chłodne powietrze czerwcowego poranka.

Błękitne, niezmacone wyższe nieba rozslaniały się, jak okiem sięgnąć, nad rozległą krainą dachów, spiętrzonych wielokształtnie w rozmaitych kondygnacjach. Ze wschodu oświetlił różowo-złota barwiła czarne, strzeliste iglice wież gotyckich fary. Obłok, na świetliste błękity nawiany, płonął tam, jak biała

róża, w ognjach zorzy. A wokół, górą, nad pokładem dachów, i dołem, w głębokich wąwozach ulic leżało niewidzialne, niesłyszalne morze ciszy.

Sędzia wychylił się z okna i zawisł przez chwilę na parapecie, nad bezludną ulicą. Sześć pięter szarego muru spadało śmiertelnym pionem wdół na kamienne płyty białego chodnika. Wychylony połową ciała nad krawędzią przepaści, doznał błędnego zawrotu głowy i szumu w uszach. Czarne, pierzaste skrzydło śmierci wionęło duszną ćmą i mrokiem... Gdy otworzył oczy, ujrzał znów wdole białą ulicę, wymoszczoną gładkimi flizami chodnika. Tedy chwycił się kurczowo parapetu — w obronie przed myślą desperacką, ciemną i mętną, w obronie przed chorobliwym urojeniem i strasliwą pokusą: runąć!...

Cóż pozostało innego?...

Kuszeniem błędnym i zawrotnym kusilo otwarte

łono kamienne — biała dolina śmierci i wybawienia — ścieląca się wdole — pod uśmiechniętem, gołębiem niebem. Żaden zgłęb ani hałas żaden nie mącił podniebnej ciszy w ulicy. Była niedziela. Znużony, uniósł się z wielkim wysiłkiem i przysiadł na krześle u okna. Cóż zostało innego?... Ścisłym rachunkiem objął treść istniejącej chwili. Okazało się prawdziwie, że jedyny sens istnienia był w tym synu... Jeżeli dziś, pojutrze, czy za tydzień opuści ten dom i odejdzie do matki?...

„Ucieknie ci z domu!...” — wołał melodyjny głos syreny. Sędzia zasłonił twarz ręką, zasłonił oczy, nakłęsłe ciepłymi łzami. Nigdy przedtem nie myślał, ani o tem wiedział. Co okazało się dopiero teraz w godzinie próby. Że ten syn, krew z krwi i kość z kości ojcowskiej, i że niemasz na świecie nic oprócz niego.

„Krew z krwi i kość z kości“...

Władysław Rymkiewicz.



P O R Z A D K I

Szafa, stojąca w przedpokoju, przed każdymi świętami, czy też na początku sezonu, nasuwała przechodzącej obok niej pani domu refleksje w stylu: „Właściwie należałoby się do niej zabrać, tam jest Sodom i Gomora!”; albo: „Raz wreszcie uporządkuję te graty, powyrzucam połowę, bo mi się ten Pocięjów dał już we znaki!”

Jeżeli nie takie, to podobne myśli opadały panią Helenę, jak nietoperze, ile razy przechodziła przez przedpokój.

Szafa wielka, ciemna, zajmowała trzy czwarte ściany całego korytarza, ponurego nie tylko przez brak dziennego światła, lecz przedewszystkiem przez obecność tego grata, matowego i pociemniałego.

Każdą próbę uchylecia drzwi szafa przyjmowała złośliwym skrzykiem, tak drapiącym uszy, że cały dom reagował na to gwałtownie.

— Ach, pocóż mamusia otwiera tę landarę!

— Heluniu, nie zabieraj się do szafy, kiedy ja jestem w domu. Można zęby stracić przy jej pisku.

I tak było zawsze. Zamiary dostania się do szafy i zaprowadzenia w niej ładny musiały za każdym razem spełznąć na niczym wobec zdecydowanej postawy otoczenia. Latami całymi pchało się do niej ubrania, które „można jeszcze przerobić”, których nie należy wyrzucać, bo „skoro Alinka podrośnie, znosi sukienki Żochny, tylko się je trochę dopasuje”.

Wrzucało się do szafy zeszyty dzieci, wypełnione świadectwem ich ciężkiej, często przerastającej wątłej siły, pracy; pchało się niektóre naczynia cenniejsze, a uszkodzone, które „trzeba naprawić, gdy się tylko znajdzie wolniejsza chwila”.

I tak z roku na rok szafa pęczniała wewnątrz, ale jakoś nigdy nie wypełniła się zupełnie.

— Wie mamusia — rzekł raz Adaś — mnie się wydaje, że ta szafa musi zjadać część rzeczy: ona nigdy nie ma dość.

— A jak ty sobie wyobrażasz jej proces trawienia? — zapytała Zosia, uśmiechając się sama do własnego, w jej mniemaniu świetnego, dowcipu.

Ale Adaś nie raczył odpowiedzieć, zamknął szafę, do której wstawił buty z łyżwami i wyszedł.

Ściany szafy trzeszczały coraz częściej. Alinka obawiała się, że szafa pęknie. Pani Helena też miała podobne pojęcie o stanie rzeczy, to też jednego dnia wstała z mocnym postanowieniem wypowiedzenia wojny graciarni w przedpokoju.

Wszystkie dzieci były w szkole.

Wkręciła widniejszą lampkę, przypasała fartuch, uzbroiła się w ściereczkę i zbliżyła do szafy.

Otwarcie drzwi towarzyszył, jak zwykle, przeciągły, drapiący jęk, ale zahartowanego serca pani Heleny nie wzruszył.

Z czeluści domowego Molocha buchnął tak skomplikowany konglomerat wszelkich zapachów, że aż oszołomił panią domu. Zaczęło się wygarnianie kolorowych stert gałganów, butów, ubrań — wszystkich możliwych i niemożliwych do użytku rzeczy.

Z wysokich półek trzeba było pozdejmować pudełka, przewiązane sznurkami, lub wstążeczkami, jakieś paczki, starannie owinięte, stare ramki drewniane i metalowe, całe stopy akt i papierów.

Wszystko to, wyjęte z szafy, utworzyło pokaźny pagórek u jej stóp. Wezwano Genię, żeby starannie w szafie wytarła kurze, najpierw na wilgotno, potem na sucho — i zaczęło się właściwe porządkowanie. Pani Helena usiadła na stercie zapomnianych i pogardzonych szat z dawnych czasów i zabrała się do segregowania.

— Co, najpierw? — zastanowiła się, zagubiona wzrokiem w niezliczonej ilości paczek i pudełek. Chwyciła jakiś pakunek i natknęła się na coś twardego, więc odłożyła to na później, do sprawdzenia, i ma-

chinalnie wzięła do rąk małe pudełko od cukierków, z brudnym i zamazanym wieczkiem, przedstawiającym delikatną i bardzo dekoltowaną osobkę, owiniętą girlandą róż.

Powodowana nieuzasadnioną ciekawością, pociągnęła za sznurek: pudełko się otworzyło i wypadły z niego liście paproci, żółtozielone, podobne do stylizowanych wycinanek, naśladujących drzewa; za temi liśćmi posypały się kartki i karteczki, zapisane drobnymi pismem. Leciwały z rąk pani Heleny na kolana i na podłogę.

Wzięła pierwszą lepszą kartkę, przybliżyła ją do zmrużonych oczu. Szare pismo. Żółtawy papier; starannie, z precyzją zachowany margines i drobnutki literki.

„Kochanie ty moje! Moja kochana, Droga Helenu! Skarbie! Już trzeci tydzień ciebie nie widzę, liczę dni i godziny, jak skazaniec, do chwili, kiedy będę przy tobie...”

„A potem razem, zawsze razem, ty i ja, całe życie obok siebie

....będziemy się kochać bez wytechnienia

....och, jakże marne było całe moje dotychczasowe życie, a jakimże cudem stanie się ono już niedługo. Dziś jest tylko przykrym letargiem, z którego mnie wyrwie świadomość ta, że należysz już do mnie...”

„Dziś to przykra konieczność, to czyściec, po którym dostanę się do raju...”

Przerzuciła kilka listów i natrafiła na liljowy, delikatny liścik, pisany mniej wprawna, lub też bardziej drżącą dłonią: „Wierzę Ci! Kocham Cię i nigdy nie opuszczę”.

Pamięta, jak bardzo lubiła liljowy kolor, i wbrew ogólnemu przekonaniu, że „stary” i „nie pasuje osiemnastoletniej pannie”, często stroiła się we wstążki i krawaty liljowe, intuicyjnie wyczuwając, że jej, złotej blondynce, właśnie do twarzy w tym kolorze. Listy też pisała na liljowym papierze, żeby on wiedział, że to od niej...

Z pomiędzy listów z cichym jedwabistym szelstem wypadły amatorskie fotografie, kawałki wstążek, wszystko to razem takie maleńkie skrawki dawnej rzeczywistości, a tak pełne słodkiej treści, posiadające nietylko swój język, ale i głos, swoją modulację, swój smak.

Rozwiązywała pani Helena jedno pudełko za drugim, wypadały z nich fotografie, którym retusz odebrał właściwe im cechy, lecz pamięć przywracała prawdziwy ich wyraz. Fotografia Zosi. Ma trzy miesiące: małe, tłuste bobo z bezmyślnymi oczami. A tu fotografia tej samej Zosi, już starszej: ma przeszło rok. Trzyma przy sercu lalkę, a uśmiecha się bez powodu, widać jednak, że na nią zawołano, bo oczy są szeroko otwarte i mają wyraz pytający. A teraz Adaś, taki podobny do ojca od pierwszych chwil życia. Następnie Zdziś... z buźką smutną, jak zawsze...

Po fotografiach wypełzały wspomnienia, ubrane w drobnutki dziecięce stroiki. Małe koszulki, czepek i kaftaniki, małe pończoszki i buciczki, potem kolorowe sukieneczki i śliniaczki, pierwsze paltka, noszone przez całą młodą generację pokolei, a trwałe, bo solidnie uszyte i z solidnego materiału. Chwała Bogu, że dawniej nie było mody na dziecięce stroje. Były czyste i całe.

Zdawało się, że niektóre przedmioty, jak wełniane buciczki niemowlęce, zachowały jeszcze ciepło tych maleńkich, różowych stóp, tyle razy całowanych ustami matki; że kapturki kryją w sobie konopny puch pierwszych włosów, zaginionych w przeszłości, jak

puch kwiatowy z łąk w bezmiernej przestrzeni; że z pod kolorowych sukieneczek wysuną się pulchne nóżki, które zaczną maszerować z cichym przytupowaniem po całym mieszkaniu. Kajety i powypisywane ołówki zawierały całą bajkę otwierającego się świata wyobraźni maleńkich ludzi.

Ach, okazało się, że ta szafa mieściła w sobie dużo więcej, niż wszyscy przypuszczali. Mieściła w sobie nietylko zbiór wszelkich szmatek i papierów, ale wszystkie uśmiechy, łyzy szczęścia i smutku, wszystkie troski i niepokoje minione, wszelkie marzenia spełnione i niespełnione, wysiłki i trudy, uczucia zapomniane, lub pogrzebane w trosce codziennej. Szafa ta, stojąca lat siedemnaście w korytarzu, starannie zbierała w swym wnętrzu wszystko, co zdawało się bezpowrotnie odchodzić z każdym wiecznym dniem. Między kolorowymi skrawkami czało się echo zagubionych śmiechów i gaworzenia dziecięcego, westchnienia serca, przepełnionego miłością.

Rozwiązane paczki, pootwierane pudełka, porozrzucane przedmioty — wszystko to leżało u stóp pani Heleny. Siedziała nad gruzami życia z rękami opuszczonymi, z oczami zasnutymi mgłą łez, które nieprzebranym strumieniem spływały jej z oczu.

Wszystko to, co wypełniało szafę, było tak bliskie, tak drogie, każdy kawałek zawierał tajemnicę jej życia.

Nie można było wyrzucić stamtąd nic, ani odrobinki, bo jakżeby można wyrzucić własne serce, choćby tylko mały jego okruczek!

Ogarnął ją bezwład, opuściły ją wszystkie siły; nietylko nie mogła pomyśleć o systematycznym uporządkowaniu przedmiotów, leżących w obrębie jej spojrzenia, ale nawet nie potrafiła się zdobyć na poskładanie tego, co oglądała.

Siedziała, zamarła w marzeniach i wspomnieniach, a na barkach jej położył się cały trud siedemnastu lat, przepracowanych w miłości do tych pięciorga najbliższych osób.

Zegar wybił godzinę trzecią.

Boże drogi! Zerwała się, nie wiedząc, za co chwycić. Jednocześnie prawie drzwi otworzyły się z hałasem, wpadły dzieci. Zosia różowa i wesola, Adaś nieco nadęty i Zdziś, choć błądy, w doskonałym humorze. Od progu wołały jeść.

— Co robi mamusia? porządki w szafie?

— Cóż za bałagan! — zawyrokował z pogardą Adaś.

— Mamo, co to? czy można sobie wziąć? — zapytała Alinka, chwytając kawałek błyszczącej kolorowej materji.

— Jakie to ładne! — rzekła Zosia, patrząc na trzymaną przez matkę fularową sukieneczkę.

Pani Helena wpychała wszystko pośpiesznie do szafy, lekko przewiązując pootwierane pudełka i paczki.

— Zabrała się mamusia do porządkowania i nic z tego, — ocenił Zdziś wysiłki matki.

— A tak, to wielka robota, a czasu mało. Wróć jeszcze do niej, do świąt daleko.

Szafa zamknęła się z właściwym sobie piskiem, wszyscy przeszli do stołowego pokoju.

— Bolał cię oczy? — zapytał mąż po obiedzie, spojrzawszy z nad gazety na zaczerwienione powieki żony.

— Tak.

— Przemyj je sobie bornym kwasem.

— Dobrze, — odparła machinalnie i poszła do swojego pokoju, położyć się na kanapie. Bolały ją nietylko oczy, ale i serce.

Janina Wasilewska.

W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

VI.

Władze austriackie kazały pani Zofji wyjechać z Krakowa. Cała Galicja, więcej: wszystkie drzwi Polski były przed nią zamknięte. Warszawa — dla powodów politycznych, jako dla żony działacza; Poznań — dla powodów osobistych, bo łamała utarte zwyczaje i pokusiła się o rozwód z tej prostej przyczyny, że męża nie kochała, że wydano ją młodziutką za człowieka, duchem jej obcego. Bo, że pokochała kogoś innego, o tem nikt nawet słuchaćby nie chciał. Kąsała ją ludzka jadowitość, jakby nie dość było ukąszeń losu. Do Wrocławia trudno było jechać — tam przeżyła najszcześniejsze w życiu chwile: oczekiwania na szczęście, które przyszło takie dobre, a takie krótkie... Pozostały szeroko otwarte wrota do Europy. Włochy, wymarzone i przez miłość dla ojca — ukochane. Ale, aby jechać do Włoch i tam żyć, z uroków natury i sztuki słodycz pijąc, w sobie trzeba mieć jaśność i radość. Do Włoch więc jechać nie mogła.

Paryż... Paryż... W którym była w dniach wyzwolenia duszy. U boku najmilszego, z błogosławieństwem poety. Paryż, ledwie dotknięty w drodze do większego jeszcze cudu — oceanu; Paryż, ledwie widziany oczyma, które tylko Feliksa widziały.

Pojechała do Paryża na rok, na dwa, na życie już może całe? Pojechała pociągiem. Odbyła tę samą drogę, którą, w przeciwnym kierunku, tak niedawno odbył Balzak, jadąc po panią Hańską na daleką Ukrainę. Zaopatrzony w mantelzak, pudełko do kapelusza, przeciw głodowi uzbrojony w wielką porcję kawy — jeszcze nie w termosie — i w dykcjonarz, założony na wyrazie „Mleko“.

Przybyła na dworzec północny, nie tak wielki i nie tak szary, jak dziś, nie taki brudny i nie taki ponury, ale również znaczący kres dalekiej drogi i również miejsce odpoczynku zbolalej duszy.

Zatrzymała się w hoteliku przy Gare du Nord, który może już nosił nazwę — Terminus.

Zacząła szukać mieszkania. Oczywiście, w polskiej dzielnicy Paryża, na Batiniolach. W różnych czasach, różne części miasta stawały się dla pielgrzymów, niedobrowolnych wygnańców, czy emigrantów — małą ojczyzną. W latach pięćdziesiątych rodzice przenosili się na Batiniole ze względu na szkołę; wiele konopiastych spotykało się tu główek, prawdziwie błękitne oczy na ciebie patrzyły. Oczy, jak kwiatki lnu. Julian Klaczko żartował, iż Batiniole — to Tusculum mistyków i duchobórców.

Na ulicy Lanval, pod numerem 25-ym, zobaczyła ogłoszenie: mieszkanie do wynajęcia — sypialnia i salonik — jak dla niej. Weszła do kamienicy i z portjerką poszła schodami na wysokie piętro. Gdy stanęła w oknie, ujrzała się wzniesiona nad Paryżem, Górną część miasta miała jak na dłoni, a za nią szeroki szlak nieba. Odkryciem swem, jak pocałunkiem, z kimś kochanym chciała się podzielić, a musiała je zataić do chwili, gdy zdarzyła się sposobność dziennikarska!

„Przez las wieżyc, kolumn, arkad, luków, obelisków i posągów spojrzysz w to miasto potężne, uchwycić ogólny kontur jego, rysujący się na niebie, jak olbrzymia szczęka rekina; roztop go we mgłę, która ustawicznie szczyty jego oblega, oświeć go słońcem, gazem lub księżycem, co głowy wież jego zwykły sre-

brzyć misternie — i powiedz, czy jest drugi z ducha i kształtu wznioślejszy do poematu temat?“

Wynajęła mieszkanie, zakrzętała się koło nabywania niezbędnych mebli, przyjęła służącą, która wierna jej pozostała do ostatniej, dalekiej jeszcze w tej życia dobie, chwili. Gotowała się na nowe życie sama, a z myślą o Feliksie podwójnemi wszystko widząca oczyma.

Któregoś ranka, o świcie, z wyżyny batiniolskiej patrzyła na mgłę, wiszącą jeszcze w dolinie, mówiła do siebie i do kogoś, kto w tej chwili był jej, jak ona sobie sama, bliski. Kto nigdy już przy niej nie stanie, choć obecność jego zawsze czuć będzie. Póki podwójnemi na świat patrzeć zechce oczyma, póki podwójnemi oczyma patrzeć będzie mogła.

„Posłuchaj pierwszego słowa budzącego się Paryża. Posłuchaj, jak za danym przez słońce znakiem, naraz uderzą serca tysiąca dzwonów, a słuchając tej pieśni, poważniejszej od porannego hymnu przyrody, zrozumiesz niechybnie, że trzymasz ucho na sercu świata.“

„Poranna pieśń Paryża ma urok niezrównany. Płynie ona ku niebu z owej tajemniczej chwili, kiedy perłowe powietrze walczy jeszcze ze słońcem i jego brylantowe strzały swym opalowym odpiera puklerzem. Z początku tu i owdzie, zrzadka, ozwie się dzwon, jakby muzykant, dający drugiemu hasło zaczęcia koncertu... chwilę trwają sygnały, aż nagle z każdej wieży tryska ku górze piramida dźwięków — zrazu wyraźna, jak solo w chórze, wkrótce utopiona w wzburzonym oceanie spiżowych bałwanów.“

W porannym tym hymnie rozróżniam jednak tysiące odrębnych, poważnych, posepnych, głuchych lub wrzaskliwych dyalogów: rozpoznasz bogatą gamę siedmiu dzwonów św. Eustachego, srebrną mowę Loretańskiej dzwonnicy, głuche jęki z wieży św. Rocha — i setki innych dzwonów, co wszystkie razem śpiewają różnemi tony, a chwilami, jak pod uderzeniem młota, cichną, przygluszone potężnym akordem ogromnego dzwo-
nu Katedry.

Zaprawdę jest to opera, której posłuchać warto! Dzienny gwar Paryża — to jego mowa; poranny jest jego modlitwą, a kto ją raz w życiu słyszał, przyzna, że niema nic w świecie wspanialszego i wznioślejszego nad tę pieśń, śpiewaną rannej zorzy przez dziesięć tysięcy spiżowych głosów, nad ten gród, przemieniony w kapelę, nad tę symfonię, grzmiącą, jak nawałnica“.

Gdy mówić do bliskiej duszy nie mogła, pisać chciała list:

„Dan w Paryskiej Sofjówce“...

Tak nazwała swą siedzibę z pamięcią o pięknej Greczynie. Nie była — jak tamtej — wzniesiona miłością, labiryntem parku zamknięta, hufcem hajduków od dzikich pól odgradzona, w literaturze sławna. Leżała w mieście świata, własnym trudem utrzymana, bezpieczna oaza; znana tylko niedzielnym gościom.

Do kogo pisać? Dawni przyjaciele pozostali daleko, nowych jeszcze nie znalazła. Dawni możeby już jej nie rozumieli. Jak nie rozumiała jej Narcyska. Myślała pewno, iż „artystka“ uciekła od rzeczywistości, że wzięła górę „cygańska bezmyślność“ i „ciekawość nielitościwa“...

Nie miała do kogo napisać listu... Wkrótce będzie pisała — do nikogo i dla wszystkich — nie zawsze dobrowolnie — jako korespondentka C Dodatku do „Czasu“.

Zacząło się codzienne życie Zofji w Paryskiej Sofjówce — mające trwać do śmierci. *Aura Wyleżyńska.*

SEN O WIELKOŚCI*)

Tam urzeczywistnię sen o prawdziwej wielkości...

(*Szaleńcy Boży — Legenda o świętych Jozafacie i Barlaamie*).

„Nie spotka mnie już nigdy nie piękniejszego nad tę walkę, ani lepszej śmierci sobie nie wysłużę, bom walczył teraz sam jeden za dobro wszystkich chrześcijan, przeciw złu“ — (*Legnickie Pole*).

Jednym z poetyckich urzeczywistnień indywidualnego wyobrażenia wielkości jest „Legnickie pole“ Zofji Kossak-Szczuckiej. Ale żeby jego źródło odnaleźć, trzeba sięgnąć do wcześniejszych nieco „Szaleńców Bożych“, gdzie ta wielkość zupełnie programowo ucieleśniona została w szeregu świętych nadludzi, którzy świadomie odrzucają wszelki splendor i rozkosz ziemską, w poczuciu majestatu wyrzeczenia się, w nadziei niebieskiej korony.

Poza tą ideową wspólnotą istnieje pomiędzy jednym a drugim dziełem związek czysto zewnętrzny. Wśród „Szaleńców Bożych“ są postacie i momenty dziejowe, które później odnajdziemy w „Legnickim Polu“, widziane już nie pod kątem legendarnym, ale czysto epickim, rzucone na drobniogowo podmalowane tło obyczajowe, w którym aureola ich świętości nie traci blasku, ale opalizuje bogatą skalą barw. Taką postacią jest święta Jadwiga Śląska, takim momentem śmierć czterdziestu męczenników, zamordowanych przez tatarów w „Legendzie Opactwa Sandomierskiego“.

Podobnie, jak malarz przygotowuje się do skomponowania wielkiego batalistycznego płótna zapomocą drobnych szkiców, tak i Kossak-Szczucka przed podjęciem epickiej pracy o polskiej krucjacie, broniącej Krzyża nie w Ziemi Świętego Grobu, ale w ojczyźnie własnego, budzącego się dopiero życia — niejako wdraża się w nastrój, język, styl epoki za pośrednictwem tych niewielkich rozmiarami, ale pieczołowicie i z lubością wyczelowanych legend. Dodajmy: ze szczególną lubością i wniknięciem w drobiazgi obyczajowe, gdy chodzi o średniowiecze. (*Legenda o św. Jerzym, Perły św. Orszuli*).

Między „Szaleńcami Bożymi“ a „Legnickim Polem“ taki mniejwięcej zachodzi stosunek, jak między „Niewolą tatarską“ a „Trylogją“ Sienkiewicza. Na szczupłym odcinku poeta próbuje swych sił. I podczas tych „próbnych wzlotów“ nieświadomie sugeruje sobie pewne nastawienie ideowe do rzeczywistości, które w dziele monumentalnym urośnie do rozmiarów narkazu.

I tu czytelnikowi, któremu na głowę wali się cały balast wewnętrznych przeżyć autora, nie zawsze dostatecznie jasno odbitych w zwierciadle przeżyć jego bohaterów, — przychodzi z pomocą spojrzenie wstecz, które jest zarazem spojrzeniem w głąb. Kogo razi idealizacja szlachectwa w Trylogji, oswoi się z nią i zrozumie ją po przeczytaniu „Niewoli tatarskiej“; kogo nie stać na pełnię odczucia mistycznego patosu u Jadwigi i Henryka Pokornego w „Legnickim polu“, ten znajdzie ich prototyp duchowy w Szaleńcach Bożych.

Przeprowadzenie analogji z Sienkiewiczem nie jest przypadkowe. Niedarmo w autorce „Pożogi“ upatrywano następczynię Sienkiewicza, a w miłościszej,

zwartej, hojnie archaizmami poprzeraananej prozie „Złotej Wolności“, skwapliwie doszukiwano się dziezdzicznych, choćby i zaszczytnych obarzeń.

Tymczasem bez względu na pewne podobieństwa w ogólnem ujęciu sylwety powieściowej, między techniką tych dwojga epików istnieje zasadnicza różnica.

U Sienkiewicza rdzeniem jest zawsze fabuła. Ona stanowi stos pacierzowy, utrzymujący całość powieści w równowadze. U Kossak-Szczuckiej brak tego wyraźnego pionu naracyjnego. Środek ciężkości zainteresowania autorki, a za nią i czytelnika, przesuwa się z centrum na peryferje, ulega niespodzianym odchyleniom i wahaniom ekscentrycznym. Magja naracyjna Sienkiewicza polega na wikłaniu swoich bohaterów w coraz to nowe przygody, z których każda zbliżała ich, lub oddalała od upragnionego celu. Ta metoda zapewnia całkowitą jedność i spójność akcji. I to bez względu na ewentualne dygresje. Postacie romanisu są wtopione w tło dziejowe i logicznie zrosnięte z bohaterami historii. Ich losy są pniem, który ze wszech stron obrasta, jak mech, życie obozowe, dworskie, domowe, — wojny, podórże, ucieczki, porwania, fortele.

U Kossak-Szczuckiej z pod tego mchu pnia fabuły zupełnie nie widać. Jest to raczej wąta lodyga, gnąca się pod naporem wspaniałych wizyj historycznych, zamkniętych we własnym istnieniu, jak perła w muszli, odgraniczonych od świata indywidualnych przeżyć dystansem „snu o prawdziwej wielkości“.

W Trylogji Sienkiewicza losy i amory Skrzetuskiego z Heleną, Kmicica z Oleńką, Baški z Wołodyjowskim są sprawą dla czytelnika najważniejszą. O nich drży, w nich wierzy, o nich zapomnieć nie może w wiele lat po zamknięciu książki. Są dla niego bardziej autentyczni i niewątpliwi od Jaremy, Radziwiłłów, czy księdza Kordeckiego. I nie to jest dla niego ważne, jak kozacy walczyli z Lachami, tylko, czy Zagłoba z Heleną ujdą szczęśliwie rąk watażków, a Skrzetuski wydobędzie się z obleżonego Zbaraża. Nie to, czy Szwedzi dobędą, czy nie, Jasnej Góry, bo to i tak przecie wiadome jest z historii, tylko, jak ten Kmicic wysadzi w powietrze kolubrynę?

Wymysł poetycki u Sienkiewicza ma twarz bardziej wyrazistą, godną wiary, pełniejszą patosu własnego przeżycia od autentycznych dokumentów, przełożonych na język epickiej opowieści.

A co zostaje w wyobraźni czytelnika po zamknięciu „Złotej Wolności“? Zbór arjański, rokosz szlachecki, przepyszna scena wybierania zbroi u płatnerza, listy Chodkiewicza. Ale czy kto kiedy się zatroszczył o tych dwu braci, których losy miały być klamrą, spinającą ogniwa powieści? Nawet imion ich się nie pamięta. Wyciekły, jak woda przez sito.

W „Legnickim Polu“ takim sprzęgłem luźnych obrazów ma być młody Wenecjanin Gaetano, od Karakorum aż na Śląsk wędrujący w poszukiwaniu swej ukochanej Beatricy, zamkniętej w Trzebnickim klasztorze. Ale jest to tylko pretekst, figurant literacki, którego zarówno autorka, jak i czytelnicy odrzucają z ulgą, przy pierwszej nadarzącej się okazji, a taką okazją jest każdy monumentalny fragment historyczny

*) Zofja Kossak-Szczucka: „Szaleńcy Boży“ i „Legnickie Pole“. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

lub obyczajowy, np. posłuchanie u Subutaja, popas legata papieskiego u plebana Pietrka, wróżby pogańskie, gościna księżnej Hedwigi, opacichy trzebnickiej, na dworze Henrykowym, opowieść wędrownego rybaltia o Fortinbrasie i Oliwierze, śmierć i pogrzeb księcia Brodacza, wreszcie bój na Legnickim polu.

Niemal we wszystkich tych momentach, ogniskujących napięcie twórcze autorki i zainteresowanie czytelnika, główny bohater znika z widowni. Prostu nie jest potrzebny. Chwilami ma się wrażenie, że bez niego byłoby autorce wygodniej, a nam przyjemniej. Siłą wpełchnięty w natłok zdarzeń, luźno i naiwnie z nimi związany, nie jest pomocą, ale zawadą, korkiem, tamującym normalne ujście potężnej wyobraźni epickiej, która wyładowuje się swobodnie i całkowicie dopiero na marginesie jego losów. W kompozycję utworu wnosi on czynnik destrukcyjny, a jako postać, w zamierzeniu uniwersalna, mająca skupiać i pomniejszać jednocześnie zasadnicze elementy epoki, zgoła chybiona. Nie dzięki niemu, ale pomimo niego i wbrew jego bezsily stoi Legnickie Pole mocą wizji, zaklętej w słowo spisowe.

U Sienkiewicza żyją przedewszystkiem postacie, u Kossak-Szczuckiej obrazy. Sienkiewicz *widzi* swoich ludzi, Kossak-Szczucka tylko w nich *wierzy* i tę wiarę niezawsze umie tchnąć w czytelnika. Natomiast z niesłychaną dokładnością *widzi* sceny zbiorowe, wnętrza i krajobrazy i zapomocą zdań zwieszłych, słów dotykalnie plastycznych nadaje im wypukłość żywej rzeźby i barwność polichromji.

W wyborze momentu dziejowego w „Legnickim Polu“ Kossak-Szczucka miała poprzedniczkę. Poprzedniczką tą jest Deotyma, która w przypisach do swoich, dziś prawie że zapomnianych i z lektury najmłodszego pokolenia wykreślonych „Branek w jasyrze“ zostawiła istną kopalnię bezcennych materiałów historycznych. Czy Kossak-Szczucka z nich korzystała? Nie wiadomo, bo nigdzie w swojej książce nie powołuje się na żadne źródła. Jest to duży brak w dziele bądź co bądź o zakroju historyczno-monumentalnym i może się stać punktem wyjścia wielu nieporozumień i zarzutów. Nie wiemy np., jaką drogą dostał się do „Legnickiego Pola“ ów Konrad, drugi syn Henryka Brodatego, który w powieści reprezentuje instynkt samozachowawczy żywiołu rdzennie polskiego wobec zachłannej kolonizacji niemieckiej, usilnie a ślepo popieranej przez Piastów śląskich. Czy jest on, podobnie, jak Mieszko, syn Bolesława Śmiałego u Wyspiańskiego, postacią nawpół legendarną? A może autorka znalazła o nim jakieś bliższe dane w kronikach śląskich? A może poprostu wymyśliła go, bo jej był potrzebny dla stworzenia przeciwwagi jednostronnemu ciążeniu Piastów śląskich ku niemczyźnie? Czy mamy do czynienia z rewelacją historyczną, czy z plodem fantazji, lub ideologii dziejowej? Oto pytania, które autorka mogła rozstrzygnąć kilku zdaniem w przypisach.

Ten sam brak, choć już pod kątem mniej ostrego zagadnienia, odczuwa się wobec kilku innych momentów książki, np. wobec kwestji dyplomatycznych intrzyg Wenecji i Genui na dworze chana, wobec stosunków Stolicy Apostolskiej z Piastami śląskimi, wreszcie niezmiernie ciekawych guseł i przesądów pogańskich, których krótkie, ale plastyczne obrazki z widocznym upodobaniem rozsiała autorka po całej książce. Kto wie, czy dorywcze studia w tym kierunku nie doprowadzą jej w przyszłości do zgłębienia i odbudowania całokształtu mitologii słowiańskiej na pod-

stawie nielicznych, niestety, tak bardzo zdekompletowanych i zniekształconych przez późniejsze apokryficzne przeróbki, szczątków.

Wracając do zestawienia „Branek w jasyrze“ z „Legnickim Polem“, zaznaczyć musimy, że przypadkowe ich pokrewieństwo kończy się na wyborze tematu i chrześcijańsko-patriotycznym nastawieniu obu autorek. Zresztą mamy tu do czynienia z dwiema indywidualnościami twórczymi o zupełnie odmiennym temperamencie artystycznym. Deotyma reprezentuje twórczość statyczną, Kossak-Szczucka dynamiczną. Deotymie właściwy jest typ pracy gabinetowej, Kossak-Szczuckiej — erupcyjny. Deotyma jest naturą refleksyjną, Kossak-Szczucka, pomimo wszystko, impulsywną. Deotymą kieruje dogmat i tradycja, Kossak-Szczucką instynkt rasy. I ten instynkt zapewnia jej zwycięstwo w tych momentach, gdzie Deotyma staje bezradna. Odwrotnie: Deotyma góruje nad nią konstrukcją całości i planem wypełnieniem części. Jest konsekwentniejsza w swoich artystycznych zamierzeniach. Jeżeli chce przedstawić kolejno średniowiecze polskie i świat mongolski, to wiąże je ze sobą logicznie i naturalnie: każe je nam oglądać oczami dwu niewiast polskich, wziętych w jasyr tatarski. Te dwie postacie są kręgosłupem całej kilkatomowej powieści; dzięki nim zachowana została jedność akcji bez pogwałcenia prawdopodobieństwa i naciągania faktów. Szkielet konstrukcyjny „Branek w jasyrze“ jest proporcjonalny i doskonały. Czuć w nim cyrkiel i wagę, mędrca szkiełko i oko; ale ciało, porastające ów szkielet, jest wiotkie i blade, nalane anemicznym sentymentem. „Legnickie Pole“ jest posągiem przeszłości, zbudowanym bez troski o anatomję, często z zuchwałym jej pogwałceniem; ale z poszczególnych fragmentów tego dzieła bije patos gestu i prawda wyrazu, właściwa wielkim wizjonerom. Deotyma rozdrabnia historję, Kossak-Szczucka ją monumentalizuje, wykukwa jej oblicze wielkimi uderzeniami młota.

I jeżeli nawet ciosy jego nie zawsze świadczą o pewności ręki mistrza, to trafia on niezawodnie w tworzywo doskonałe. Słowo, którem posługuje się Kossak-Szczucka, jest na językowej pustyni dzisiejszej literatury polskiej ożywczą krynicą. Żasilona sokami wieków, przefiltrowana przez złoża sumiennych studjów i instynktownego poczucia ładu i prostoty, spadająca łagodnymi stokami wewnętrznego rytmu, proza Kossak-Szczuckiej jest czemś więcej, niż indywidualną zdobyczą i chlubą autorki: jest dorobkiem naszej narodowej kultury. Mniejsza o to, czy tak właśnie, jak u niej, mówili przodkowie nasi w XIII wieku. Historyk języka znajdzie tu napewno niejedno do wytknięcia. Ale przypomnijmy sobie, że i „Chłopi“ Reymonta nie mówią gwara pewnej dzielnicy, czy epoki, ale jakimś nowym, przedtem nieznanym, idealnym językiem chłopskim, w którym niema nic sztucznego. Podobnie i Kossak-Szczucka poczyna sobie z mową polską. Ona ją syntetycznie archaizuje. Fonetycznie i gramatycznie czyni ją bliską, ale zapomocą jędrnych, dosadnych, malowniczych, a nawpół zapomnianych zwrotów i wyrazów sugeruje nam jej dawność, prostotę, bezpośredniość.

Niema istotnych różnic między stylem autorki, a jej bohaterów. Żyją z sobą w doskonałej symbiozie. Są ludźmi tej samej rasy duchowej. Intelkty ich są odmiennie, ale instynkty i ideały bliźniaczo podobne. Kto wie, czy Kossak-Szczucka nie jest raczej człowiekiem tamtej epoki, niż dnia dzisiejszego. Jej sen o wielkości pod średniowieczną przyłbicą ma twarz chrystusowego rycerza i ascety.

Stefanja Podhorska-Okołóm.

„SURPRISE PARTY“ W DNIU IMIENIN

(od specjalnej korespondentki)

Nie wiedziałam, doprawdy nie miałam najmniejszego przeczucia, że spotka mnie to w pierwszym odrazu roku pobytu w Ameryce.

Siedziałam sobie, Bogu ducha winna, przy biurku, głowiąc się nad zaczęłym artykułem i spoglądając od czasu do czasu przez niskie okno saloniku na park, w którym hulał wicher wcale nie wiosenny, jak na dzień 24-y marca. Nasz „home“ amerykański znajduje się na I-em p., czyli, po warszawsku, na parterze niskiej willi, tak, że do przechodzących ulicą można mówić z łatwością z mieszkania. W pewnej chwili zamysłony mój wzrok spoczął na dobrze mi znanym zielonym kapeluszu pewnej miłej znajomej, przechodzącej właśnie pod memi oknami w dużej grupie pań...

Cóż to znaczy? Same znajome... O tej porze? — była 3-cia po południu — w tej stronie miasta? Gdzież mogą iść, jak nie do mnie? Jakoż — dzwonek. W przedpokoju robi się tłumnie i gwarno. Spostrzegam, że panie są obładowane paczkami, ale jeszcze nie kombinuję. Na mój widok wybuchają okrzyki:

— Winszujemy, winszujemy, wszystkiego dobrego, najdłuższych lat! „Suprajs“ Party! „Suprajs“ Party!...

Jestem porwana, otoczona, obcałowana i, nie wiedząc, jak i kiedy, siedzę na kanapie we własnym salonie, na kolanach mam olbrzymi bukiet kwiatów, a moje panie znajdują się we wszystkich kątach mieszkania jednocześnie. Słyszę, że rozbierają się w sypialni, że szczękają naczyniami w kuchni i rozsuwają stół w jadalnym pokoju.

Rozumiem już, oczywiście, że przyczyną tego zamieszania są przypadające na jutro moje imieniny i że jestem przedmiotem owacji, zwanej „surprise party“, ale wyjść nie mogę ze zdumienia, kto zdradził datę. Jednocześnie moje gospodarskie instynkta są zaniepokojone, jak wypadnie przyjęcie. Ale nie wolno mi o tem myśleć, nie wolno mi się ruszyć, mam siedzieć na miejscu i bawić gości. O wszystkim za mnie pomyślano i wszystko będzie, jak należy!

Przemocą wrywam się na chwilę, przypomniawszy sobie, że mogę poczęstować moje miłe nastniczki winem... O, wcale nieoficjalnie... tak sobie, przypadkiem znalezionem w spiżarni... Częstują więc, śpiewają mi: „Sto lat“, jest bardzo wesoło, wszystkie panie mówią naraz i nie posiadają się z radości, że niespodzianka naprawdę się udała!

Mistrz ceremonji, pani W. prosi do stołu. Wchodzimy. Cóż za widok! Kwiaty, słodycze, torty, ciasta wszelakiego rodzaju, kawa, herbata do wyboru. Wszystko — do cukru, kawy i śmietanki włącznie — przyniesione przez gości. Jest nas 18-cie. Obsiadamy stół, ja na piwsem miejscu, i odbywa się najweselszy z podwieczorków. Trzeba spróbować wszystkich ciast, bo są na dziś specjalnie pieczone, trzeba wypić conajmniej po dwie filiżanki kawy, tak ulubionej przez panie amerykańskie. Nie braknie nawet „speechów“: każda z pań pokolei podnosi się i wypowiada życzenia, często rymowane, a solenizantka musi wszystkim podziękować. Odbywa się to wesoło, bezpretensjonalnie, z dziecinną prawie prostotą i serdecznością. Znajdują się i podarunki, przypadkiem niby zamieszane wśród słodyczy.

Po podwieczorku goście zbierają naczynia, pomagają uporządkować je i pomyć i — jak nagle się

zaczęło, tak nagle kończy się wszystko, mija, niby wesoła, hałaśliwa burza, zostawiając wrażenie czegoś bardzo zabawnego i miłego sercu.

Te najazdy towarzyskie dla uczczenia czyjejs rocznicy weszły w użycie, jak mi mówiono, przed kilku dopiero laty wśród Polaków. Są pomysłem amerykańskim, oczywiście, i sądzę, że tylko tutaj mogą być tak często stosowane. Życie w klubach, w towarzystwach sprzyja tego rodzaju nowoczesnym kuligom. Wszelkie wspólne „kawki“, pogadanki, lunch'e, wyprawy do kina, wszystko, co się ogólnie nazywa „party“, jest tu bardzo lubiane. Głównie urządzają te imprezy panie, bo mają dużo czasu, mimo, że są „zapracowane“. Charakter jaknajbardziej demokratyczny takiej zabawy rozpowszechnił ją w najszerszych warstwach społecznych. Uprawia się np. takie dziecinne ceremonje, jak gaszenie światła, żeby osoba fetowana nie widziała, co się dzieje, i inne niewybredne mistyfikacje.

Najczęściej czone są w ten sposób urodziny, ale można urządzić „suprajs party“ i na czyjeś srebrne wesele, i z racji jubileuszu czyjejs pracy społecznej w danem towarzystwie, i z każdego innego powodu. Okazyj nie braknie, a gest obdarzających bywa bardzo szeroki. Słyszałam o... piecu kuchennym, jako o podarunku dla solenizantki, i o... automobilu, ofiarowanym długoletniemu sekretarzowi jakiejś instytucji.

Oczywiście, nie o podarunki chodzi. Najmilszą stroną tej zabawy jest niefrasobliwa, szczerza wesołość, jaka ją cechuje, i charakterystyczna dla amerykańskiego życia towarzyskiego chęć zrobienia bliźniemu przyjemności. Niegłębokie to i nieskomplikowane — zapewne — ale bardzo zabawne i przyjemne.

M. Znatowicz-Szczepańska.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Lekarz na rozdrożu“ — sztuka w 5 obrazach Bernarda Shaw. Przekład F. Sobieniowskiego. Reżyserja K. Borowskiego. Dekoracje K. Frycza.

„Lekarz na rozdrożu“, wbrew tytułowi i pozorom — to zjadliwa satyra przedewszystkiem na obłudę, a dopiero w drugim rzędzie na zautomatyzowanie wiedzy lekarskiej, która w rękach szarlatanów, nieuków, zaślepieńców i manjaków tak łatwo z powołania staje się rzemiosłem. Tylko, że Shaw w ten sposób ustawia swoje tezy, że widz aż do ostatecznej rozgrywki nie zdaje sobie sprawy, gdzie jest ich właściwy front, biorąc nieraz dywersję za główny atak.

Taką dywersją jest akt pierwszy, groteskowa rewja moljerowskich szablonów, prezentacja sześciu marjonetek medycznych, które, jak sui generis sąd przysięgłych, mają wydać wyrok na pacjenta: „winien, czy nie winien“, i w myśl wyroku ocalić mu życie, lub skazać na śmierć. W rezultacie pacjent, genialny malarz i niepoprawny łobuz, ginie nie dzięki medycynie, ale obłudzie zbrodniczego lekarza, który podstępnie zabija go niezawodną bronią: brutalnem manjactwem kolegi.

I tu Shaw ma świetną okazję do jaskrawego zestawienia dwóch światów: amoralnego świata radosnej twórczości, którego licencje obyczajowe nie liczą się ani z kodeksem, ani z ogólnie przyjętymi formami współżycia, i niemoralnego światka t. zw. porządnych ludzi, którzy nie cofają się przed pospolitem świństwem, a nawet zbrodnią, byleby formalnie być w zgodzie z kodeksem.

Pierwszy świat: cygańskich indywidualistów, artystyczno-twórczych, a życiowo destrukcyjnych lekkoduchów reprezentu-



Teatr Polski: „Lekarz na rozdrożu”. Janina Munclingrowa w roli starej służącej.

je malarz Dubedata. Świat duchowego kołtuństwa i dulszczyzny obyczajowej wyszydzone jest w areopagu lekarskim. Żona Dubedata, piękna Jennifer, stająca się mimowoli ośią całego dramatu, zamyka w sobie odrębny, nawskroś kobiecej świat entuzjastycznej wiary, kultu i miłości dla tego, którego w pośmiertnym jego życiorysie nazywa „Człowiekiem Królem”. Jest to w sztuce ta jedyna naprawdę „sprawiedliwa” (nie w znaczeniu sprawiedliwości sądu, ale prawości charakteru), dla której wartoby ocalić tę całą Sodomę, jaką jest Anglja współczesna, oglądana przez przydymione snobizmem szkła komedji Shaw.

„Lekarz na rozdrożu”, napisany w 1906 roku, a grany w Warszawie poraz pierwszy w 1909 r., nie się nie zestarzał w ciągu swej dwudziestopięcioletniej kariery. W osobie Dubedata, w jego estetyzującym cynizmie i w hipokrytycznym doń stosunku potępiającego go bez zastrzeżeń społeczeństwa, można by odnaleźć pewne echa Wildowskiej tragedji. Jest to jedyna postać, która trąci myszką i wydaje się nam takim samym anachronizmem, jak ekstrawagancje Młodej Polski z czasów Przybyszewskiego.

Natomiast problemat uspołecznienia medycyny nie stracił nic na świeżości, ciągle jeszcze jest sprawą palącą. Leży to zresztą w naturze Shaw, że wyprzedza on wszystkie zagadnienia, które ludzkość dopiero ma przeżyć po latach w formie znacznie ostrzejszej, niż ta, na jaką zdobywa się jego genialna intuicja.

Teatr Polski wystawił „Lekarza na rozdrożu” z całym pietyzmem i finezją, godną Shaw. Reżyserja Borowskiego uwypukliła wszystkie subtelne zjadliwości dialogu; każde żądło, ukryte wśród kwiatów, było wydobyte na jaw. Obsada ról była naogół trafna, prócz dwóch rywali: malarza Dubedata i lekarza Ridgeona. I jeden i drugi nie mają odpowiednich warunków zewnętrznych. Przytem Daczyński w akcji III-im, w brawurowym

pojedyunku słownym z lekarzami, powinien być porywającym, zabójczo pięknym królem życia, a był poprostu bezczelnym urwisem, którego tyrady, niedbale i niewyraźnie wygłaszane, nie przekonywały nikogo. Natomiast, jako męska Violetta, w scenie umierania był poetyczny i wzruszający. Jeden z krytyków wprowadził stąd złośliwy wniosek, że należałoby niektórych artystów przywiązywać do fotela, unieruchamiać im głowę, a wtedy dopiero wydobęda właściwy efekt słowa.

Samborski był za ciężki na demonicznego lekarza-zabójcę. Natomiast niezrównani byli w rolach innych lekarzy: Bogusiński, jako sir Patrick, Stanisławski i Karbowski.

Kamińska godnie i z przejęciem reprezentowała idealną kobiecość, a Munclingrowa z epizodycznej roli starej służącej zrobiła małe arcydzieło charakterystyki. S. P. O.

TEATR ATENEUM.

„Dom otwarty” — komedja w 3 aktach Michała Bałuckiego. Reżyserja Stanisławy Perzanowskiej. Dekoracje i kostjomy Jerzego Zaruby.

Metoda uwspółcześniania teatru przez wskrzeszanie dawnych sztuk w nowej formie jest drogą, pełną pokus i niebezpieczeństw dla realizatorów scenicznych. Jak strach na wróble, zjawia się zaraz przed naszymi oczami Hamlet we fraku i hr. Henryk w żakiecie. Teatr Ateneum szczęśliwie uniknął tego kostjumowego nieporozumienia.

Przy wznawianiu „Domu otwartego” uwspółcześnił nie stroje i obyczaje, ale punkt widzenia komizmu. Wykorzystał dystans, jaki nas dzieli od epoki Fikalskich-wodzirejów i „fornalki” córek na wydaniu. Dzisiaj sam widok tiurniury, sama melodja kadryla budzi w nas wstrząs homerycznego śmiechu. Oto pierwiastki nieświadomego humoru, których złoza zupełnie przypadkowo ku ucieście potomnych zostawił Bałucki w swoich komedjach.

Celem jego świadomych pocisków był snobizm towarzyski sfer mieszczańskich i jego najbujniejszy kwiat: plotkarstwo. I tu zaobserwować możemy przez zestawienie czasów dzisiejszych z dawnymi ciekawy fenomen obyczajowy. Oto snobizm uległ ewolucji, dzięki zasadniczej zmianie podstaw życia towarzyskiego, ustosunkowania się wzajemnego obu płci, form zabawy, rodzajów tańca, stroju, ukłonów, salonowego „protokołu” i t. d.

Tylko jeden czynnik współżycia ludzkiego nie zmienił się na włos: plotka. Jest równie żarłoczna i równie nienasycona dziś, jak przed półwiekiem, ma te same apetyty i te same chwyty, tak samo wszędzie węższy skandal i zakazana miłość. Jest, niestety, niezłomniejsza, niż cnota, bardziej konserwatywna, niż moralność. Pokolenia mijają, wielkie kataklizmy dziejowe wywracają świat na nice, a ona trwa. Groteskowa, zaiste, nieśmiertelność!

Z groteskową również brawurą, która zakrawała chwila mi na parodję, wystawiono „Dom otwarty”. Nawet dekoracje z kartonu buchały pikantną uczniowską łobuzerją. Kostjomy i pozy łączyły w sobie dobroduszną karykaturę Kostrzewskiego z nowoczesną zjadliwością jasełkową. Zakończenie aktu drugiego (wściekły mazur—wszystkie pary) miało rozmach, barwność i irracjonalność gestu, jakby żywcem wziętą z tanecznych kompozycyj Stryjeńskiej.

Wśród młodego, ale doskonale zgranego zespołu wyróżniali się oryginalnością i śmiałością sylwetek: Buczyńska w roli Pulcherji, Poreda jako Fikalski, Daniłowicz jako zazdrosny mąż, wreszcie Żeleński, w epizodycznej roli farmaceuty, z której stworzył klasyczną postać prowincjonalnej „fujary”.

A wreszcie — czołem przed reżyserją!

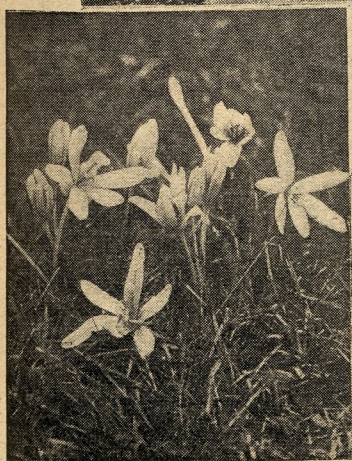
Stanisława Perzanowska po triumfach reżyserskich „Ulicy”, dała nowy dowód swej twórczej inteligencji i intuicji. Ze starego rekwizytu teatralnego umiała zrobić rzecz nową, świeżą, zajmującą. Jeszcze jedno zwycięstwo kobiety! S. P. O.

PRZEDWIOŚNIE

Nie odrazu przychodzi wiosna, śniegi i lody topnieją stopniowo, ale tem radośniej patrzymy na to, jak codzien ich mniej,



fiolki, a w lasach sasanki. Gałęzie drzew puszczają pączki, już tylko patrzeć, jak na miejsce zimowej bieli spadnie wiosenny śnieg kwiatów śliw i biało-różowych jabłoni.



jak z pod ich o-
statków wychyla
się pierwsza zieleń
nowej trawy, ma-
lutkie gwiazdki
pierwiosnków, a
potem śmiało, za-
borcze krokusy, i
ukryte w trawie



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

O LOS TELEFONISTEK.

Automatyzacja telefonów pociąga za sobą zwolnienie z posad ogromnej liczby telefonistek. Z czasem pozostanie tylko znikomą ilość pracownic w biurach i przy nadzorze aparatów. Redukcja ta, aczkolwiek przykra, jest nieunikniona; trzeba jednak czuwać nad tem, aby nie stała się zbyt wielką krzywdą, zwłaszcza, że towarzystwo, rozporządzające takimi kapitałami, jak Pasta, może i powinno dać długoletnim urzędniczkom, tracącym pracę wskutek tak zasadniczych zmian, przyzwoite odszkodowanie. Niestety, na to się nie zanosi. Telefonistki żądają odprawy w wysokości jednomiesięcznej gaży za każdy przepracowany rok. Wyniosłoby to dla najstarszych trzy i dwuletnie pensje, sumę kilku tysięcy złotych, zapewniającą rodzaj skromnej emerytury. Zarząd telefonów nie chce jednak zgodzić się na te warunki, zmniejszając, przeciwnie, sumę odprawy w stosunku do liczby przepracowanych lat.

Każdy wie, jak wyczerpujący i rujnujący zdrowie jest zawód telefonistki. Wszystkie prawie cierpią na nerwy i serce, nabywają wad wzroku i słuchu. Automatyczna praca po dłuższym czasie tworzy z każdej istotny automat, zmniejszając lub niwecząc zupełnie zdolność przystosowania się do innego rodzaju zajęcia, które i tak, dla starszych zwłaszcza kobiet, tak trudno dziś znaleźć. To też nie można się dziwić, że występujące solidarnie w obronie własnej i najstarszych koleżanek telefonistki nie cofają się nawet przed zapowiedzią strajku, aby się ratować. Dla zapobieżenia temu powinny wystąpić wszystkie związki kobiece i przez interwencję posłanek wpłynąć na sprawiedliwe rozstrzygnięcie sprawy tego wielkiego odłamu pracownic.

SPOTKANIE.

Od paru lat trwa formalny wyścig wyczynów lotniczych, coraz nowe rekordy długości lotu, lotów bez lądowania, naokoło świata, pod bieguny i najrozmaitszych idą w zawrotnem tempie; wprost nadażyć trudno pamięcią choćby tylko za najslawniejszymi.

W tym wyścigu kobiety zaczynają zajmować coraz więcej i coraz wybitniejsze miejsca. Świeżo przyjmowano owacyj-



Sportsman i sportslady.

nie w Anglii Mrs. Wiktorję Bruce, która odbyła sama raid naokoło świata, przebywając 20 tysięcy mil w powietrzu. Mrs. Bruce przyjechała do Londynu jednocześnie z Sir Malcolm Campbellem, znakomitym automobilistą, który pobił rekord szybkości zmarłego tragicznie w r. z. Sir Henry Seegrave'a.

Na rycinie widzimy dwoje „asów“ przestrzeni, pijących zdrowie swych triumfów.

NAJSMACZNIEJ I NAJHIGJENICZNIEJ.

Myliliby się, toby sądził, że mężczyźni i to bardzo wykształceni, a nawet uczeni, artyści i wielcy pisarze, nie zajmują się nigdy praktycznie sprawami kulinarnymi. Przeciwnie, w każdej epoce historii odnajdujemy takich kuchmistrzów z zamiłowaniem. Starożytność zna Lukullusa, czasy nowsze Brillat-Savarin'a, Grimod de la Reynière i innych; współcześni zaś mistrze wprowadzili jeszcze jedno udoskonalenie do tej sztuki: kuchnię djetetyczną, przyrządzanie potraw, nie tylko najlepszych, ale i najzdrowszych, podług najnowszych teorii higieny odżywiania.



Dr. Pomian podczas wykładu.

Jednym z najwybitniejszych znawców w tej dziedzinie jest obecnie rodak nasz, zamieszkały w Paryżu, dr. Pomian. W założonym niedawno w stolicy Francji instytucie higieny odżywiania, szkole „naukowego” gotowania, dr. Pomian prowadzi szeręg wykładów, dając wskazówki, jak na zasadach chemji potraw i wszelkich nowoczesnych zdobyczy i wskazań higieny przyrządzać potrawy, nieustępujące wykwintem i smakiem dawnym, tradycyjnym wytworom Savarinowskiej kuchni.

Dr. Pomian cieszy się we Francji zasłużoną sławą, to też na jego wykładach zabrakło miejsca dla słuchaczy, chociaż wstęp mieli tylko studenci i studentki wyższych uczelni.

ROZWÓJ OCHRONY PRACY Kobiet.

Pomimo szeroko rozprzestrzeniającej się agitacji międzynarodowego Związku Kobięcego Otwartych Drzwi, dążącego do zniesienia wszelkich ograniczeń i ochrony pracy kobiet, a może raczej dla przeciwstawienia się tej agitacji, zorganizowana zostanie w roku przyszłym, w Atenach, wielka, międzynarodowa Konferencja pracy, poświęcona głównie ochronie macierzyństwa i pracy kobiecej. Inicjatorzy konferencji zrozumieli już nareszcie, że sprawy tak ważnej dla kobiet nie można decydować bez ich udziału i zapraszają z każdego państwa po 8 delegatów: cztery pełne delegatki i cztery zastępczynie. Polskie stowarzyszenia kobiece zwrócić powinny baczną uwagę na ten zjazd, aby przygotować nań swoje postulaty i rezolucje.

TO SIĘ NIE CODZIEN ZDARZA.

Uniwersytety amerykańskie urządziły konkurs nie piękności, lecz inteligencji kobiet. Za najzdolniejszą słuchaczkę wyższych uczelni Stanów Zjednoczonych uznana została Miss Joan Jamison ze Stanfordu. Zdarzyło się jednak tak nadzwyczajnie, że Miss Jamison jest jednocześnie uważana za najpiękniejszą studentkę!



Miss Joan Jamison.

KLUB KOBIECY W POZNANIU.

Poznański oddział polskiego Stow. Kobiet z wyższym wykształceniem otworzył Klub towarzyski dla członkiń i zaproszonych gości. Zebrania odbywają się dwa razy na tydzień, wieczorem w jednej z sal gmachu Muzeum Mielżyńskich. Bogato zaopatrzona czytelnia, muzyka patefonowa i bufet tworzą miłe tło tych klubowych zebrań.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Dziwnie się dzieje na świecie! Brak pieniędzy, tak dokucający ludziom prywatnym i tak strasznie przez nich ganiony i oplakiwany, dokuca niemniej państwowi i to tak zasobnym, jak uważanej obecnie za najbogatszą, Francji. Budżet francuski przewiduje na rok 1931 *tylko* miliard franków deficytu! Wyrównaniem tego niedoboru ma być podwyżka podatków: dochodowego, stemplowego i innych, oraz liczne oszczędności: między innymi zmniejszono kredyt na zapomogi bezrobotnym ze 100 milionów, na 25.

Na posiedzeniu, które przeciągnęło się do godziny 5 i pół rano, Sejm zatwierdził w drugim i trzecim czytaniu dwie ważne ustawy: ratyfikowano odnowienie traktatu gwarancyjnego z Rumunją i traktat handlowy z Niemcami.

Długoletni sojusz polsko-rumuński stanowi, tak, jak i polsko - francuski, podstawę pokoju, to też akcentem prawdziwej serdeczności zabrzmiały życzenia, przesłane Rumunji przez Sejm z tej okazji.

O umowie handlowej z Niemcami mówił obszernie minister Zaleski, wyjaśniając jej znaczenie i polemizując z zarzutami, stawianymi temu traktatowi. Do najbardziej krytykowanych należą t. zw. klauzule osiedleńcze, określające prawa osiedlania się cudzoziemców. Otóż uprawnienia strony niemieckiej oparto na typie zobowiązań tego rodzaju, przyjętych ogólnie w zachodnio-europejskich traktatach handlowych. Udzielone obywatelom niemieckim pewne swobody osiedlenia spowodowane zostały z jednej strony względami na kilkadziesiąt tysięcy osiadłych w Rzeszy niemieckiej obywateli polskich, którym w razie obostrzenia klauzuli osiedleńczych groziłby przymusowy powrót; z drugiej na taką, lub większą ilość Niemców z Wielkopolski, dawnych obywateli niemieckich, a obecnie polskich, którzy masowo powróciliby z Niemiec do miejsca stałego zamieszkania, t. j. na ziemię zachodnie. Nie byłoby to w żadnym razie dla tej części kraju korzystne.

Drugim słabym jakoby punktem traktatu jest wymiana handlowa, która wobec wybitnie akcentowanej w ostatnich czasach w Rzeszy Niemieckiej polityki absolutnego protekcjonizmu celnego, może przesunąć się na niekorzyść Polski. Słusznie jednak stwierdził minister Zaleski, że ta sama niekorzyść wyniknie dla wszystkich innych krajów, pozostających w stosunkach handlowych z Rzeszą. Zresztą sami znawcy niemieckich stosunków gospodarczych krytykują ten system protekcyjny, uniemożliwiający poprawę stosunków gospodarczych, zależnych zawsze nie wyłącznie od polityki wewnętrznej, ale właśnie od porozumienia międzynarodowego. Traktat zresztą podlega rewizji, gdyby okazał się w wykonaniu niekorzystny dla Polski.

Przedstawia się teraz zagadnienie: czy Niemcy traktat ten ratyfikują? Jeśli tego nie uczynią, wiadome będzie w każdym razie, że Polska okazała maksimum dobrej woli dla sprawy pokoju.

Jest to właśnie całe zagadnienie naszej polityki: nie ustępując na krok ze spraw zasadniczych, dążyć do łagodzenia sporów i konfliktów; wymaga tego zarówno zbieżność z polityką Francji, jak ogólny nastrój, panujący w Lidze Narodów i w całej polityce wszechświatowej. Po tej linii idzie właśnie zarówno traktat handlowy, jak i poprzedzający go traktat likwidacyjny z Niemcami, t. zw. umowa Warszawska.

NASZA MÓWNIKA

leszcze słów parę w sprawie budżetu

(w odpowiedzi p. K. W.).

Zabierając głos na temat, poruszony przez p. K. W., nie traktowałam tej sprawy wyczerpująco; rzuciłam parę zdań, parę myśli, pierwszy lepszy przykład, w celu wywołania dyskusji i, zdaje mi się, cel został osiągnięty.

Nie mogę też obecnie, na propozycję „Bluzsuzu“, podać konkretnych cyfr „zmniejszonego“ budżetu, gdyż budżet mój nie nadaje się do porównania z innymi, ze względu na to, że mieszkamy w własnej willi nad Narwią (a więc nie placimy komornego) i że często, oprócz członków rodziny, mamy gości; nie mogę się jednak powstrzymać, aby nie rzec kilku słów w odpowiedzi Pani K. W., która między innymi pisze: „jeśli zaproszę znajomych, u których bywam, nie mogę podać herbaty i chleba z masłem“.

A ja zupełnie nie rozumiem, dlaczego bym nie mogła podać swoim znajomym chleba z masłem, zsiadłego mleka z kartoflami, jakiejś skromnej sałatki, słowem tego, „czem chata bogata“, albo tego samego zjeść u kogoś?

Uważam, że celem naszych odwiedzin i przyjęć powinna być *uczta duchowa*, polegająca na wspólnej wymianie myśli i obcowaniu z osobami, do których mamy sympatię i szacunek, i że właśnie przy wspólnej i milej pogawędce najwycyżajniejsze potrawy lepiej smakują (zresztą wszędzie są nieco inaczej przyrządzane), goście zaś, widząc, że nie zrobili nam sobą żadnego kłopotu, żeśmy ich przyjęli chlebem powszednim i sercem, chętniej nas znowu odwiedzą i u siebie z większą swobodą przyjmą.

Cała właśnie tragedia, że dziś, aby utrzymać jakiś kontakt z ludźmi, aby „bywać i przyjmować“, silimy się na przyjęcia ponad stan, które często nadwerężają nasz budżet domowy i w rezultacie zmuszają do zamknięcia się w czterech ścianach. Dlatego też życie towarzyskie małych miast i miasteczek dziś kompletnie zanikło.

Pani Jana czyni wzmiankę o teatrze i kinie, o których „ani marzyć“ nie może ze względu na „brak odpowiedniego ubrania“. Z tem ja się też niebardzo zgadzam. Skoro już się ma na bilet, to gałganki fraszka! W kinie się nie rozbieramy, w teatrze zaś, np. na balkon w pierwszych rzędach, skąd doskonale się wszystko widzi i słyszy, stroje są zupełnie codziennie, skromne; zresztą, czyż chodzimy do teatru, aby się pokazać?

Reasumując powyższe, jeszcze raz podkreślam, że powinniśmy dążyć nie do wyrzeczenia się życia towarzyskiego i rozrywek, lecz do wyzbycia się tych wszystkich przesadnych względów, które nam to życie paraliżują, a więc *obniżyć stopę życiową* pod każdym względem.

L. Wojciechowska z Wojciechomic.

Zamało (w odpow. pani Janie)

... „I też żyć muszą“. I wszelkich aspiracji wyzbyć się muszą. Aspiracji do życia czynnego, bo jeśli nie mają takiego kochanego synusia, jakiego ma Sz. Pani Jana, a chciałyby choć w części wypełnić swój obowiązek względem społeczeństwa w inny sposób, też zrezygnować z tego muszą. A jednak żyć trzeba i oto jak: Jestem żoną przedwcześnie (na skutek słabego zdrowia) zemerytowanego urzędnika, urzędnika IX st. sl. Emerytura 173 zł. 50 gr. Jest nam dwoje (jesteśmy jeszcze ludźmi młodymi). Mieszkanie opłacone do czerwca, węgiel za okres zimowy, z kwoty, otrzymanej ze sprzedaży części zbędnych mebli przy likwidacji 5 pokojowego z kuchnią lokalu (obecnie 1 pokój, kuchnia i alkowa) oraz zaoszczędzonych pieniędzy. Na życie wydaję 95 zł., zaznaczyć tutaj muszę, iż pomimo, że mieszkamy na prowincji, ceny artykułów żywnościowych nie są niższe od cen w dużych miastach. Rozrywki kulturalne: prenumerata pism, abonament radjowy, korespondencja i różne składki na cele społeczne 25 zł. Posługa raz na dwa tygodnie, oraz co-

dzienne noszenie wody i tygodniowe węgla 9 zł., światło 8 zł. (przeciętnie). Oszczędności na premjowany wkład P. K. O. 7 zł. Razem 144 zł. Pozostaje mi 29 zł. 50 gr. na wszystkie inne przewidziane i nieprzewidziane wydatki, a więc ubranie, pranie (co dwa miesiące), przybory toaletowe i t. p. Jest to doprawdy, najtrudniejsza pozycja do związania. Związać jednak trzeba...

Tylko, że najbardziej cierpi na takim budżecie strona moralna. Bezcelowość życia, beznadziejność. Nic więcej ponad to, co zamyka się w szeregu tych skromnych cyfr.

Bardzo przepraszam Sz. Czytelniczki za ten wcale nieciekawych list. Ale, że Pani Jana tak serdecznie wspomniała i o tych, co „otrzymują jeszcze mniej i też żyć muszą“, nie mogłam powstrzymać się, by nie napisać o tem.

Maryjka.

O polskość

Gdybyśmy zechcieli przeprowadzić statystykę polaków i rusinów, zamieszkałych na wsiach podolskich, statystykę sumienną, żeby każdy obywatel wykazał swą narodowość bodaj od trzeciego pokolenia, nie wiem, czyby tych prawdziwych polaków, czy rusinów było więcej nad 6 proc.; reszta są to ludzie, zrodzeni z małżeństw mieszanych, którzy tylko swoje wyznanie mogą z czystym sumieniem określić.

Utarło się w tych stronach nazywać ludzi, chodzących do kościoła, polakami; i naodwrot, chodzących do cerkwi, rusinami. Lud wiejski nie da sobie wytłumaczyć błędnego mniemania, że tak dobrze grekokatolik może być polakiem, jak rusin może być łacinnikiem. Mowa nie gra roli w tym wypadku, ponieważ wszyscy mieszkańcy wsi używają potocznie języka rusińskiego.

Nierówność tę wykorzystali przywódcy ukraińskich partij: przez kooperatywy trafili do każdej wioski i, że tak się wyrażę, „zrobili“ ukraińców; to też dziś musimy się z nimi liczyć poważnie. Trzeba im przyznać wyższość umysłową nad tutejszą ludnością polską.

Dam małą próbkę: do naszej agencji pocztowej przychodzą następujące czasopisma ruskie: Niedziela 14 egz., Gromadsko Kooperatiwny Czasopis 4, Narodna Sprawa 66, Diło 2, Nowyj Czas 4, Żynocza Dola 3, Pracia 2, Sijawo 2, Selski Gospodar 5, Swoboda 7, Prawda 2. Razem 111 egzemplarzy. A polskich? Chłop 5 egz., Emigrant Polski 1, Gospodarz Polski 2, Grudziądzka Gazeta 3, Przewodnik Katolicki 1. Razem 12 egzemplarzy! z czego Przewodnik Katolicki prenumeruje ksiądz. Są to dane ściśle, ze stycznia b. r.

Co prawda, nie na całym Podolu panuje taki stan rzeczy, są okolice szczęśliwsze od tych, które zamieszkuje; tam, gdzie polskością ludności opiekuje się obywatelstwo lub księża, w rzadkich wypadkach nauczyciele. Ci ostatni jeszcze są, że tak powiem, na austriacką modłę, wypełniają swój zawód ściśle według programów; pozatem nie wiedzą, czy ich uczeń umie się po polsku podpisać.

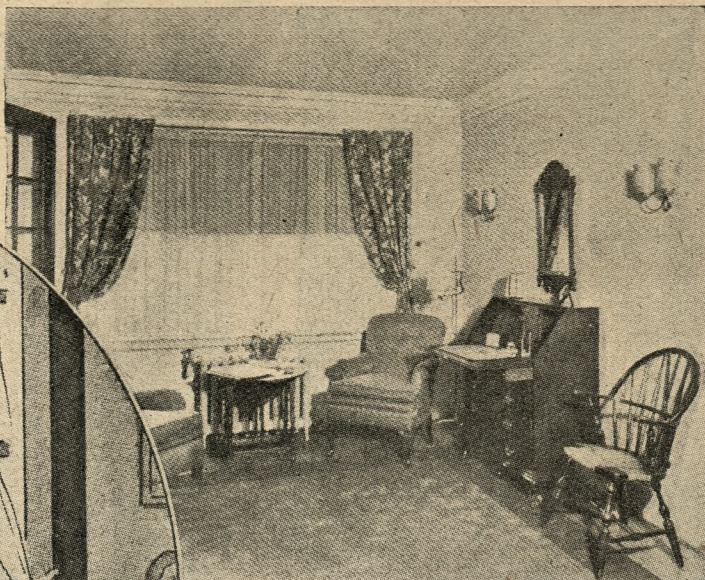
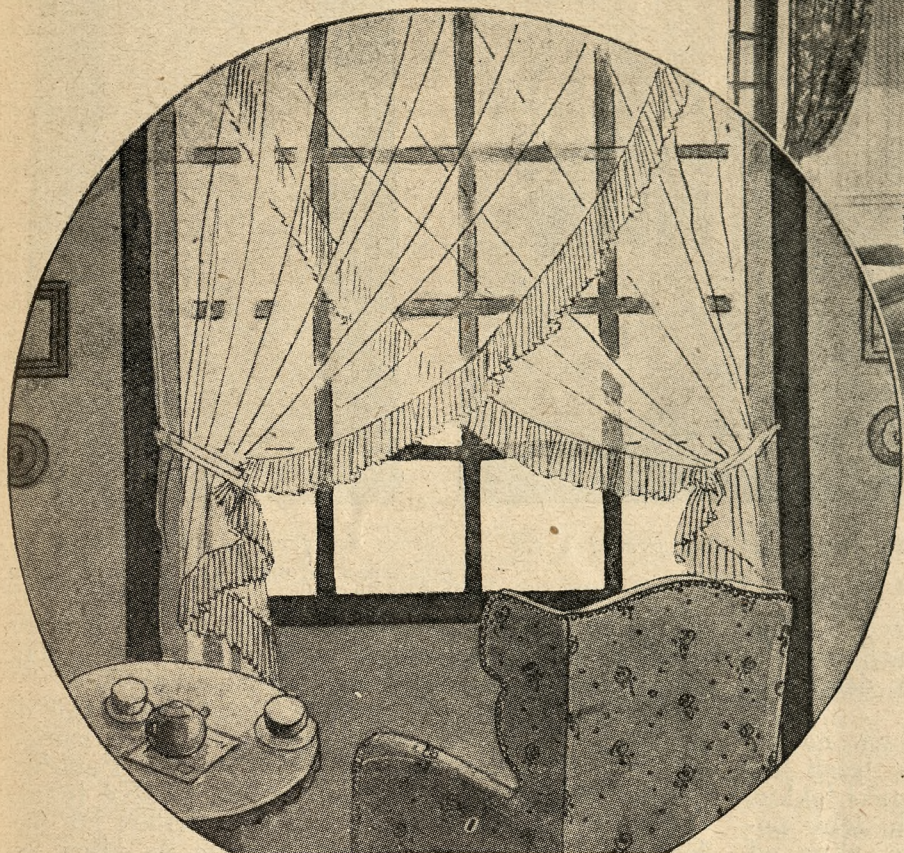
Bardzo smętnie przedstawia się polskość na wsiach podolskich i należałoby jaknajśpieszniej przeprowadzić akcję rozbudzenia patriotyzmu, uspięnego przez małżeństwa mieszane i brak wszelkiej akcji społeczno-obywatelskiej. Trzeba, aby wszyscy ziemianie wzięli sprawę społeczną do serca i gdy sami nie chcą, czy nie mogą na tem polu pracować, popierali przynajmniej tych, dla których ta działalność jest celem życia.

Mojem zdaniem, polskość na Kresach powinna przedstawiać sprawę pierwszorzędną, niecierpiącą zwłoki. Czy granica, obstawiona w dostatecznej ilości wojskiem, ma być jedyną ochroną? Błędne to mniemanie niektórych. Gdy chcemy, by liczone się z nami, musimy przede wszystkim silnie stać w swym pasie nadgranicznym, mieć w nim ludność w pełni narodowo uświadomioną.

Leonarda W. z Podola.

NASZE OKNA

Założenie i wybór firanek nie należą do rzeczy łatwych, aczkolwiek jest to niezbędna i rozpo-

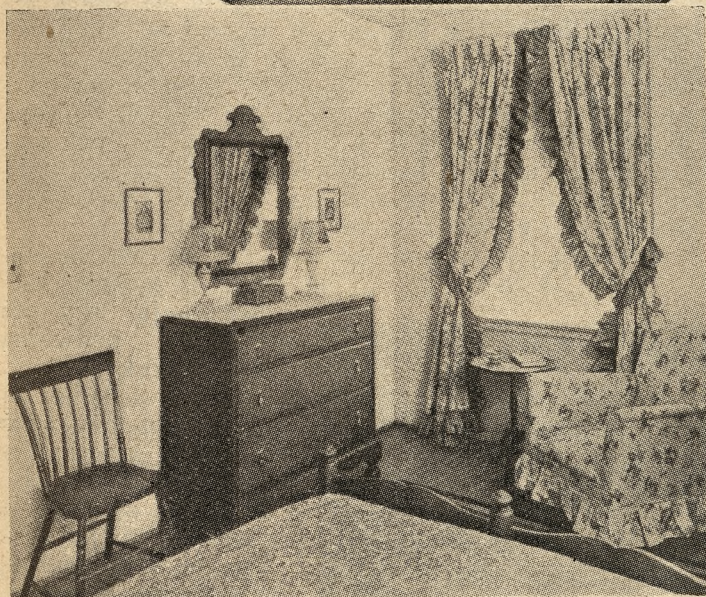


Okno weneckie osłonięte zasłonkami i wzorzystymi storami.

Skrzyżowane tiulowe firanki, ozdobione falbankami.

ciwnie: okna od ulicy lub podwórza nawet we dnie muszą być zakryte jasną przejrzystą zasłoną. Wnętrze, urządzone nowocześnie, nie może mieć takich samych firanek, jak urządzone stylowo. Z powyżej przytoczonych przykładów wynika jasno, że wybór i założenie firanek wymagają namysłu i wszechstronnego rozważenia tej sprawy. Podejść należy do niej z kilku stron naraz, zależnie od tego, czy mieszkamy na wsi, czy w mieście, i odpowiedzieć sobie na szereg pytań. Najważniejsze z nich będzie: *w jaki sposób okno się otwiera?*

Rozpowszechniony jest u nas typ dwojakiego otwierania okien: dawniejszy — na zewnątrz i nowoczesny — do wewnątrz. Przy oknach, otwieranych na zewnątrz, możemy drapować firanki w sposób rozmaity; przy oknach, otwieranych do wewnątrz, firanki powinny być ściągane, gdyż nawet najostrożniejsze rozsuwanie przy otwieraniu okna zawsze naraża firankę na rozdarcie. Nie stosuje się



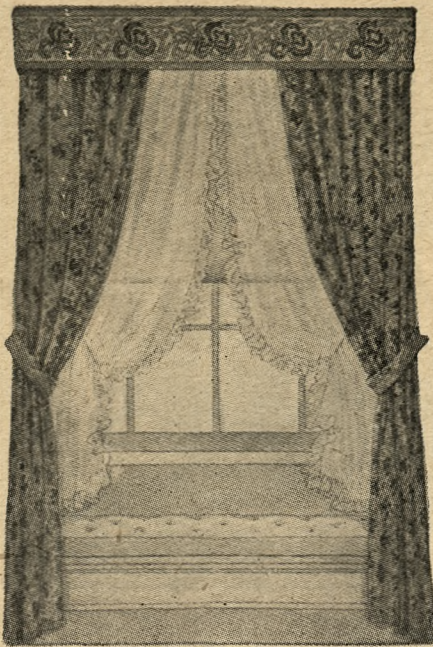
Marszczone firanki z falbankami mogą posłużyć jednocześnie jako story.

wszechniona dekoracja domowa. Każde niemal okno wymaga innej oprawy, która musi być zharmonizowana nie tylko z wnętrzem domu, ale i dostosowana do warunków zewnętrznych.

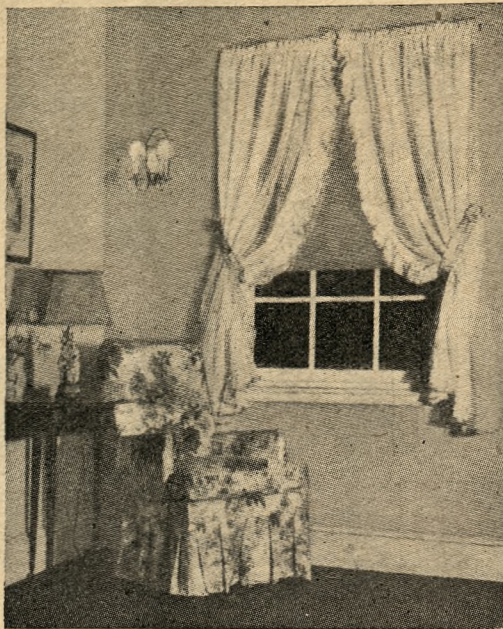
Czego innego bowiem wymaga okno parterowe na wsi, czego innego — w mieście. Inaczej trzeba osłonić okna południowe, inaczej od strony północnej. Okna miejskie, wychodzące na wolną przestrzeń, nie wymagają zasłonek na szybach, prze-



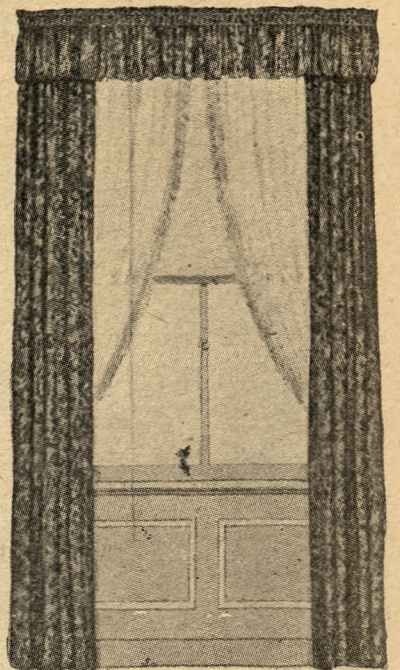
Tiulowe i kretonowe firanki założone na weneckim oknie.



Firanki tiulowe i podpięte story z tkaniny „Ladu”.



Markizetowe krótkie firanki z falbanką.



Story ściągane na boki, lambrekin i muślinowe firanki strojnie ubierają okna.

u nas, niestety, okien, używanych w Ameryce — zsuwanych do góry lub nadół, jak w wagonach, autach, tramwajach. Przy takich oknach wszelkie dekoracje są dopuszczalne.

Po rozstrzygnięciu pierwszego pytania, należy się zorientować, w jakiej stronie leży okno. Jeżeli jest od północy, to, oczywiście, trzeba dać firanki lekkie, przejrzyste, założyć je jedynie po bokach, żeby pokoju nie pozbawiać światła. Przeciwnie, okno od strony południowej można bardziej osłonić, licząc się przy kolorowych zasłonach z nieodzownym płowieniem materiału. W takim oknie dobrze dać story, rolety lub żaluzje, żeby w czasie upałów lub gwałtownej operacji słońca zabezpieczyć meble i obicia od płowienia. Oczywiście, zasłaniać się od słońca tylko w razie ostatecznej konieczności, pamiętając, że słońce — to zdrowie.

Niezależnie od geograficznego położenia okna, gra rolę jego *bezpośrednie sąsiedztwo*. Jeżeli okno mieści się na parterze w mieście, na piętrze od podwórza, lub przy ruchliwej ulicy, gdzie każdy może zajrzeć we dnie lub wieczorem do naszego wnętrza, trzeba dać firanki gęste, a na wieczór ściągać story, spuszczać rolety, lub zamykać okiennice.

Często bardzo okna takie wymagają, oprócz firanek, założenia stałych zasłonek na szybach, które chronią od zbyt natrętnych spojrzeń przechodniów, lub bliskich sąsiadów. Te

uwagi nie dotyczą, oczywiście, parterowych i piętro- wych okien na wsi, gdzie właśnie tyle radości daje nam widok, roztaczający się z odsłoniętego okna.

Rodzaj i sposób założenia firanki, stosownie do warunków zewnętrznych, zależy również od *warunków wewnętrznych*, t. j. od przeznaczenia i umeblowania pokoju. Inaczej i inne trzeba założyć firanki w pokoju o meblach stylowych (np. Empire lub Biedermeier), w pokoju, przeznaczonym na salon, sypialnię, gabinet, lub jadalnię, a inaczej w pokoju nowoczesnym, który ma służyć do wielu celów naraz. Oczywiście, w braku u nas poradni artystyczno-dekoracyjnych, trzeba polegać często na radach tapicera, lub na własnym guście i intuicji. Bardzo pomocne są w tych trudnych kwestjach czasopisma (szczególniej zagraniczne), zawierające liczne reprodukcje i wskazówki z dziedziny ozdabiania wnętrza.

Ważną jest również sprawa, czy firanka ma służyć wyłącznie, jako dekoracja, czy też spełniać podwójną rolę firanki - story. W tym wypadku na firanki należy użyć tkaniny gęstej, nieprzepuszczającej światła, założyć je zupełnie prosto, dając od góry lambrekin i boki proste, rozsuwane na dzień, a ściągane na noc.

Materiałów firankowych jest bardzo dużo, ale niezmiernie mało estetycznych wzorów. Przeważnie koronkowe, fabryczne firanki, pokryte pseudo-naturalistycznymi lub stylizowanymi deseniami, odbiegają



Muślinowe zasłonki na oknach w przedpokoju.

daleko od elementarnego pojęcia estetyki. Na szczęście, współczesna moda, propagująca zakładanie firanek „na krzyż“, à la nasze prababki, rzuciła na rynek lekkie, gładkie, lub kropkowane tiule, śnieżne, cienkie muśliny i markizety firankowe. Poza tem matowe lekkie opale, na których można haftować, lub rozszywać je filekami, motywami klockowymi i t. p. Śliczne są z tego zasłonki na szyby. Bardzo modne są firanki z siatki ręcznej (są niezłe imitacje). I ogromnie trwałe firanki z greckiego tiulu, rozszywanego koronkami. Poza tem do pokoi sypialnych, gościnnych, panińskich, dziecięcych, do wiejskich i willowych jadalni używane są kretony wzorzyste. Poczesne miejsce zajmują lniane samodziały i wyroby wytwórni „Ład“, nadające się na portjery i boczne story do przeróżnych pokoi. Jako bardzo strojne obramowanie okien, używane są tafty lub popeliny. Możliwy również w tym celu używać prawdziwych jedwabi krajowych „Milanówek“.

Do założenia firanek potrzebne są gzymsy metalowe lub drewniane (czasem można się zadowolnić zwyczajnym drążkiem drewnianym).

Jeżeli firanki są drapowane lub krzyżowane, przybijają się je pod spodem gzymsu drobnymi gwoździkami. Jeżeli są ściągane, to na metalowym lub drewnianym okrągłym gzymsie umieszcza się szereg kółek, przez które przeciąga się mocny sznur do ściągania. Po bokach przeprowadza się go przez porcelanowe kółka, z trzema dziurkami, a po założeniu oprawia się w porcelanowe rączki. Ściągane firanki, zaopatrzone w lambrekin, można umocować do drewnianego gzymsu, przybijając lambrekin do gzymsu, a boki firanek przymocowując do grubego drutu, zaopatrzonego w kółka, przyszyte do firanek. Drut przywiązuje się do haków, wbitych w ścianę pod spodem gzymsu, tak, że jest zupełnie niewidoczny.

Do zasłonek na okna stosuje się specjalnie małeńkie, cienkie, mosiężne gzymsiki, które dopasowuje się ściśle do szerokości połowy okna.

Na załączonych rycinach znajdują panie kilka najbardziej charakterystycznych i modnych sposobów założenia firanek.

M. Dobrowolska.

NAUCZMY SIĘ MIESZKAĆ

(stare lokale)

„Polacy są narodem, który ukochał niewygodę i codziennie oddaje jej cześć bałwochwalcą“, mawiał jeden mój zgryźliwy przyjaciel, a gdy ze zdumieniem zapytałam go o dowody tego rozumowania, odpowiedział mi: „wszystko, a przedewszystkiem mieszkania“!

Uprzedzam, że było to przed wojną, w czasach, gdy np. w Warszawie budowano całe serje nowych domów, budowano bez żadnych specjalnych trudności i ostatecznie można było zastosować tam już nowe udogodnienia techniczne, i właściwe pomiary przestrzeni, i kierunek światła, i rozkład, i różne takie rzeczy.

Nie zrobiono z tego nic; postawiono całe ulice pudeł, z wąskimi, jak studnie, podwórkami, z mieszkaniami, które chyba ktoś specjalnie obmyślał, aby je zrobić jak najbardziej niewygodne.

Zawiniono tu i w planie miasta: całe dzielnice Warszawy mają szeregi ulic, idących prosto, jak strzała, z zachodu na wschód, wobec czego jedna strona ulicy ma okna wprost na południe, druga wprost na północ i to zarówno okna frontowe, jak oficyn po-

przeznaczonych. Lekko licząc, w każdym domu jest dziesięć lokali frontowych z połową pokoi północnych, a drugie dziesięć w oficynie poprzecznej samych północnych.

Powie ktoś — trudno, plan miasta; ale można było zrobić choć większe podwórza, pokoje kwadratowe, aby, jeśli nie słońce, to choć światło dochodziło. Gdzieżtam! Podwórza, które zakryćby można sporem prześcieradłem, pokoje trzy razy dłuższe, niż szersze, skutek, że na trzecim i czwartym piętrze jest ciemno, a od drugiego w dół trzeba cały dzień palić światło.

Jakie w takich lokalach jest powietrze? Czy można się dziwić, że co drugi jest wilgotny, a wszystkie, z braku słońca, niezdrowe?

A rozkład i wygody wewnętrzne?

W lokalach frontowych jest często rozkład t. zw. korytarzowy, i są łazienki, ale w oficynach! Dwa, trzy, czasem i cztery pokoje w amfiladzie, jeden za drugim, maleńki przedpokoik, wygodka jaknajbardziej „krępująca“: widziałam mieszkania, gdzie wchodziło się do niej z kuchni! Łazienki, naturalnie, brak; dzwonek przeważnie zepsuty, a nawet gdy jest, to nie przeprowadzony przez całe mieszkanie, wskutek tego można zadzwonić się, jeżeli mieszkańcy lokalu są np. w ostatnim pokoju, gdyż dzwonek nie słyszą.

Piece pokojowe i kuchnie „z zasady“ źle grzeją, schody — nie radzę oprzeć się o ich poręcz w jasnej rękawicze. Więcej jeszcze: na wielu schodach poręcz, obluźwana, podobna jest do trampoliny, albo brakuje w niej filarków, tak, że np. dziecko może z łatwością wypaść o piętro niżej! O czystości schodów lepiej nie mówić, zwłaszcza niefrontowych, choć nie są to wcale schody wyłącznie kuchenne, a i na tych przecie czystość obowiązuje.

Powie kto, że porządki wewnętrzne, piece, dzwonki i t. p. może sobie każdy lokator utrzymać w dobrym stanie, przeprowadzać instalacje i t. p.: tak, ale własnym kosztem. Dlaczego? Weszło to w zwyczaj (nie wiem, może nawet i w prawo) w czasie wojny i po niej, gdy cena lokalu równała się cenie bochenka chleba; ale dziś, gdy, aczkolwiek o wiele niższe, niż w nowych, ceny w starych lokalach doszły jednak do wysokości przedwojennego komornego, dlaczego wszystkie świadczenia i konserwacja lokalu ma być obowiązkiem lokatora? Rezultat jest taki, że gospodarze w nowych domach, o bardzo wysokim komornym, też uważają, że odświeżenie i poprawki w lokalu płacić powinien lokator!

Naturalnie, podstawową przyczyną tego stanu rzeczy jest katastrofalny brak mieszkań. Co tu ganić, kiedy i tego zganionego dostać nie można, a kto je ma, choćby najgorsze, musi je znosić, bo co poradzi?

Otóż, moim zdaniem, radzić zawsze można i trzeba, nawet w najgorszych warunkach. I może dlatego jest tak źle, że nie nauczyliśmy się jeszcze w całej pełni zbiorowej akcji prywatnej, a lubimy się często oglądać, żeby ktoś za nas zrobił: a to rząd, a to magistrat, a to los szczęśliwy w ostateczności.

Cośniewoś robi się już w tym kierunku: kooperatywy mieszkaniowe, a choć mają one dużo wad i niedoborów, jednak jak bardzo już pomogły i coby było do dziś, gdyby nie one? Na dobrą sprawę trzeba by połowę chyba tych starych domów z gruntu przebudować, albo przeznaczyć na składy i magazyny, bo nie nadają się nawet na nowoczesne biura, gdzie też ludzie muszą mieć światło i powietrze. Kiedyś, gdy się Warszawa nareszcie rozbuduje, napewno do tego przyjdzie; dziś jednak, nie mogąc tak od razu reagować radykalnie, czy dążymy przynajmniej do możli-

wego uzdrowotnienia i unowocześnienia tych mieszkań?

Zamiast odpowiedzi, opiszę kilka, które znam.

W jednym cały małeńki, ciemny przedpokój, oklejony kartami pocztowymi i wachlarzami; alkowa, w której państwo sypiają (szatański pomysł! w trzech czwartych takich mieszkań są jeszcze i alkowy!), zawieszona portjerami i zastawiona ekranami, aby już ani odrobina światła i powietrza nie wkroczyła.

W drugim, tak ciemnym, że w głębi pokoju czytać nie można, w całym mieszkaniu, w drzwiach i oknach portjery, tapety ciemne (nb. wilgoć, więc wszędzie od ścian odstają), piece wprawdzie nie grzeją, ale zato sięgają sufitu, nagromadzając składy kurzu, którego wymieść nie można.

W trzecim, ponieważ wszyscy domownicy, (a jest kilka osób) muszą ciągle defilować przez całe mieszkanie, przez ową amfiladę, po każdy drobiazg do kuchni i z pokoju do pokoju, więc wszędzie porozkładano dywany, porozstawiano stoliczki z bibelotami i kanapy ze stosami poduszek, całe zaś ściany zawieszono od góry do dołu: obrazy, parasole, talerze malowane, czego tam niema! Na wszystkim tem osiada kurz, trudny do usunięcia, wobec braku słońca i przewiewu, pajęczyna (bo w takich mieszkaniach pająki mnożą się zastraszająco) i wszystko to zabiera jeszcze i tę resztkę powietrza, która tu ze studzienki podwórzowej dopływa.

Wszystko to jest nieumiejętność dostosowania się do nowych warunków życia, zamiłowanie do rzeczy, które kiedyś były celowe i potrzebne, a dziś tę celowość utraciły, lenistwo przeprowadzenia koniecznych zmian.

Znam np. rodzinę: dwoje ludzi starszych, dzieci już na swoim. Mają trzy pokoje, pani sypia w alko- wie, pan w kuchni, oboje cały dzień pracują poza domem. Mieszkanie zastawione i zawieszzone, że obrócić się nie można, ciemne, zimne, wilgoć zachodzi.

Radzę im: poco państwu taki lokal? Pozbądźcie się go, weźcie sobie za te pieniądze jeden pokój z kuchnią, słoneczny, przyzwoity, albo dwa z dobrym rozkładem, aby jeden odnając; będzie taniej i zdrowiej.

Otwierają oczy ze zdumienia: taka zmiana! I te wszystkie rzeczy! Co z nimi zrobić? Rzeczy tych nie używają zupełnie, a są ich prawdziwymi niewolnikami.

I tak dziesiątki i setki rodzin marnują zdrowie w lokalach ciemnych, bez powietrza, nieludzko zastawionych niepotrzebnymi rzeczami. Pomimo całego prądu nowoczesności, mody nowych racjonalnych wnętrz, licznych szpał, wypełnionych wskazówkami, jak się urządzić, jest jeszcze takich ludzi wiele, „dużo, dużo za bardzo“, jak mówią murzyni.

Trudno! nie zburzymy, ani nie przebudujemy odrazu tych wszystkich domów, stawianych ku zgrozie higieny i wygody; nie wszyscy też możemy wprowadzić się z nich do nowych lokali, ale jedno można i trzeba zrobić: zreformować je choć trochę. Wyrzucić ciemne obicia, wogóle tapety, pomalować pokoje na jasny kolor; przerobić podsufitowe piece na niskie, gładkie piecyki, aby dobrze grzały i nie gromadziły kurzu; wstawić, gdzie się da, choćby w kuchni, wanny i usunąć niepotrzebne, zabierające światło i powietrze, portjery i „ozdoby“.

Dobrze, ale najważniejsze: skąd pieniądze na to w dzisiejszych ciężkich czasach? Zapewne, trudno, żeby w przeciągu jednego miesiąca wszyscy dali temu radę; ale chodzi o to, aby zdać sobie sprawę z konieczności tej reformy, aby jej chcieć, aby do niej

dażyć, bo tego, niestety, najbardziej brak. Konieczne zaś dla higieny i czystości przeróbki powinni bezwzględnie przeprowadzić gospodarze domów.

Minęły już czasy „gospodarskiej“ nędzy, domy dają dziś dochód przyzwoity i trzeba wymagać od gospodarzy odpowiedniego remontu. Trzeba domagać się tego na drodze ustawodawczej, w Radzie miejskiej, czy w Sejmie. Parę lat temu zobowiązano właścicieli do odnawiania domów z zewnątrz i klatek schodowych i jakoś odnowili; dlaczego nie pomyślano o lokalach?

Pomimo trudnych warunków, dużo rzeczy można przeprowadzić, trzeba jednak chcieć, trzeba zdać sobie sprawę z horendalnych warunków higieny i wygody połowy przynajmniej warszawskich lokali. Trzeba nauczyć się mieszkać.

N. J.

ROLA WODY W OGRODZIE WARZYWNYM

Woda, tak, jak światło i ciepło, jest niezbędnym warunkiem do życia roślin. Wszystkie ich organy, a zwłaszcza te, w których zachodzą procesy życiowe, są bogate w wodę. I tak: na 100 części świeżej masy

szpinaku	mamy 90 części wody
kapusty	„ 89 „ „
kalafjorów	„ 90 „ „
marchwi	„ 87 „ „
szparagów	„ 93 „ „
ogórków	„ 95 „ „
pomidorów	„ 92 „ „
sałaty	„ 94 „ „ i t. d.

Widzimy więc, że woda jest zasadniczą częścią składową roślin. Dlatego też musimy dbać o to, aby nasze warzywa miały jej pod dostatkiem w roli, aby mogły ją czerpać w ilości koniecznej dla swego normalnego rozwoju. Roślinność dzika przystosowuje się sama do ilości wody w glebie, dlatego mamy inną roślinność na suchych piaskach i skałach, inną na bagnistych łąkach, inną znów w samej wodzie.

Człowiek, uprawiając rośliny, zmusza je nieraz do życia w warunkach, dla nich obcych zupełnie — musi więc, chcąc mieć odpowiednie plony, dostarczać im takie ilości wody, żeby one nie odczuwały jej braku, ani też nadmiaru.

Wszak znamy doskonale szkody, zarówno w rolnictwie, jak i w ogrodnictwie, spowodowane przez susze, które hamują rozwój roślin, przez co obniżają nie tylko ilość, ale i jakość plonów.

Dlatego też, uprawiając warzywa, nie powinniśmy żałować trudu i kosztów i dać im odpowiednią ilość wody. Tembardziej, że warzywa przeważnie wtedy tylko są smaczne i ładne, gdy szybko się rozwijają.

Sałata np. osiągnie swą kruchość tylko wtedy, gdy rosnać będzie szybko; rzodkiewka, mając dużo wilgoci, dłużej nie będzie parciała, a kalafjory dadzą naprawdę piękne róże, gdy w czasie swego wzrostu nie odczują braku wody.

Doskonale rozumieją to ogrodnicy francuscy, zwłaszcza ci, których warsztat pracy jest blisko miast — to jest hodowcy warzyw, prędko dochodzących (np. sałat); to też nie wahają się nawet przed tak kosztownym dostarczaniem swym warzywom wody, jak podlewanie ręczne. Wiedzą oni, że za dobre warzywa osiągną lepsze ceny, a przyśpieszenie dojrzewania też im się doskonale opłaci.



*Piękna cera nawet
przy najgorszej
niepogodzie!*

Nawet wtedy, gdy pogoda jest najbardziej zmienna i zsyła naprzemian ciepłe i zimne dni, wszystkie panie mogą nie obawiać się o swą cerę bo Krem Elida Co Godzinę chroni i pielęgnuje skórę nawet przy najgorszej niepogodzie.

**KREM
ELIDA
CO GODZINĘ**

463

Ogrodnicy ci gospodarują na niewielkich przestrzeniach, a wysoka cena ziemi zmusza ich do podniesienia kultury posiadanego kawałka do maximum wydajności; nie żałują więc odpowiednich wkładów, które jednak oprocentowują się doskonale.

U nas w kraju właścicielki ogrodów powinny brać przykład od ogrodników francuskich i doprowadzić swój kawałek ziemi do tego, by mieć dla siebie warzywa na cały rok i to w doborowej jakości.

W krajach o klimacie suchym sztuczne podlewanie warzyw, uprawianych nawet na dużą skalę, staje się nieraz konieczne. Przy tej masie słońca i ciepła doprowadzona sztucznie woda zostaje wykorzystana wyśmienicie przez rośliny, które rozwijają się wspaniale i dają odpowiednie plony.

Na półwyspie Bałkańskim w Rumunji, a nawet już na Podolu widziałam warzywniki, uprawiane na tak zwanych „lewadach“ (miejsca uprawne nad rzekami, zalewane wodą w czasie rozlewów wiosennych — nasze machy) i podlewane zapomocą koła. Koło to, zaopatrzone w czerpak, a poruszane koniem, nabiera wodę z rzeki i wylewa ją do odpowiednio zbudowanych koryt, skąd rozchodzi się ona po całym systemie rowków. Przy pomocy motyki lub szpadla ogrodnicy przepuszczają wodę do coraz to nowych rowków. W ten sposób cały warzywnik jest podlany.

Podlewając nasz ogród warzywny, powinniśmy pamiętać o tem, że lepiej jest dać roślinom wodę rza-

dziej, a dużo, niż codziennie lekko tylko kropić powierzchnię. Przez takie lekkie podlania zwilżymy za ledwie cieniutką warstewkę ziemi, i woda wyparuje, nie dostawszy się nawet do korzeni. Cała więc praca nasza pójdzie na marne.

Podlewając obficie, zmoczymy rolę głębiej, a zerwawszy nazajutrz motyczką skorupkę, jaka się utworzyła, zaopatrzymy rolę w wodę na czas dłuższy.

Jeżeli więc nie możemy odrazu podlać całego ogródka, lepiej jest podzielić go na części i podlewać pokolei, ale obficie.

Do podlewania powinno się brać wodę miękką. Najlepszą byłaby więc woda z rzeki, potem ze stawów i sadzawek. Studzienna woda jest zimna, zwykle twarda i uboga w tlen. Dlatego też przed użyciem trzeba ją nalać w możliwie szerokie kadzie, lub odpowiednio zbudowane zbiorniki, żeby się ogrzała i wzbogaciła w tlen. Woda taka będzie tem lepsza, im dłużej będzie stała i im cieńszą warstwą będzie wystawiona na działanie powietrza, dlatego zbiorniki powinny być możliwie płytkie i szerokie.

Bez względu jednak na to, że możemy warzywom w naszych ogrodach dostarczyć wodę sztucznie, powinniśmy zwrócić szczególną uwagę na wodę w roli, w którą sama przyroda ją wzbogaca, i przez odpowiednią uprawę regulować jej ilość, tembardziej, że obniży to znacznie kosztą naszej produkcji.

(d. c. n.)

Zofja Wróblewska.

WĘDLINY TRWAŁE

Wobec niebywalej dotąd taniości żywych wieprzy i dużej trudności spieniężenia karmników, już kilka pań zwróciło się do mnie z pytaniem, w jaki sposób najlepiej przyrządzić wędliny, czy inne przetwory z wieprzowiny, aby móc je sprzedać z możliwym zyskiem.

Pomysł przerobienia ukarmionych sztuk na miejscu na wędlinę jest doskonały, tembardziej, że ceny tych wędlin w miastach stosunkowo mało spadły, a przy biciu wieprzy na wsi, we dworze, jest tyle wybornych odpadków — przysmaków prawdziwych — że mogą one bardzo zaważyć w utrzymaniu służby i czeladzi.

Zachodzi tylko pytanie: jakie rodzaje wędlin i wyrobów nadają się najbardziej do korzystnej sprzedaży?

Na Kresach Wschodnich i na Pomorzu z dawien dawna są wyrabiane wędliny trwałe, nie tylko dobrze zasolone i uwędzone, lecz i wysuszone na marcowym wietrze; znoszą one doskonale nie tylko daleki przewóz, lecz i długotrwałe przechowanie i mogą być dotrzymane do chwili pomyślnej konjunktury na rynku nierogaczynny. Jest nawet ciągle mowa o zorganizowaniu na szerszą skalę eksportu takich wędlin do Francji i Szwajcarii, gdzie pierwsze próbki, posłane ubiegłej jesieni, bardzo się podobały. Tymczasem jednak są to tylko projekty i jedynym miejscem zbytu dla naszych wieprzy są bekoniarnie, wyrabiające wędzone boczki, nota bene tylko z młodych, mięsistych i nieprzetuczonych sztuk, na eksport do Anglii.

Ze wstydem muszę się przyznać, że nie wiem, na co taka bekoniarnia używa najszlachetniejsze części zaszlachtowanych zwierząt: szynki, polędwice i t. p. Kilkakrotnie przezemnie zwiedzana przed wojną bekoniarnia libawska (obecnie na Łotwie), która obsługiwała prowincje bałtyckie i dużą część Kowieńszczyzny, wyrabiała wyborne szynki, i kielbasy w rodzaju włoskich salami — które to wyroby były bajecznie tanie, bo stanowiły jakby produkt dodatkowy, poboczny; przypuszczam, że coś podobnego wyrabiają i nasze bekoniarnie, tylko nie zdarzyło mi się z temi wyrobami spotkać w handlu; a może właśnie są to te wędliny pomorskie, zwycięsko konkurujące z tak zwanymi litewskimi i, trzeba przyznać, bardziej od tych ostatnich standaryzowane.

Zdaje mi się, że nieco odbiegłam od tematu; lecz mówiąc o bekoniarniach, chciałam przypomnieć naszym gospośiom o tem niezawodnym źródle zbytu, o którym, wnosząc z ich rozmów i listów, zdają się nie wiedzieć.

W całej bylej Kongresówce wyrób wędlin odbywa się w sposób masarski i najczęściej pod kierunkiem masarza, sprowadzonego z miasta lub miasteczka. No, i te wędliny, smaczne narazie, wcale się nie dają konserwować, muszą być zbyte, lub zużyte natychmiast po zrobieniu.

Na tego rodzaju zużycie karmników wpływa i zwyczaj karmienia odrazu tylko niedużej ilości sztuk — często, w dużych nawet gospodarstwach, jednej tylko, po której zaszlachtowaniu zasadza się nową do ukarmienia.

Inaczej się rzecz ma na Kresach Wschodnich. Tam całą ilość przeznaczonych na ukarmienie i rzeź wieprzy dzieli się co najwyżej na dwie duże partje. Jedną się szlachtuje po pierwszych mrozach (około Wszystkich Świętych), drugą na początku lutego,

przed zapustami. Wędliny się soli, przyrządza, wędzi, posiłkując się personelem domowym, pod dozorem pani domu, lub doświadczonej gospodyni.

Niektóre gospodarstwa doprowadziły swe wyroby do prawdziwego arcyzmu. Są one tak trwałe, że nieraz jakaś w głębi śpichlerza powieszona i tam zapomniana szynka dopiero w trzecim roku na stół przychodzi. Skórę ma wprawdzie twardą, jak żelazo, tak, że przed ukarmianiem trzeba ją dobrać mocno; lecz po rozkrajaniu słoninka na niej jest tak różowa, jak w świeżo wędzonej, a mięso przezroczyste, ciemno-wisniowe, dające się krajać w cienkie, jak papier, płatki i wprost niezrównane w smaku.

Kielbasy i salami, polędwice i balerony, boczki i golonki, również dobrze uwędzone, jeżeli nie latami, to miesiącami zachowują świeżość, i jeśli panie chcą się zająć wyrobem wędlin, to tylko takie im polecam.

Należy je robić tylko zimą, w czasie mrozów, kiedy niema much i innego robactwa, mogącego zapsuć całe zapasy.

W krótkim artykule nie sposób podać szczegółowe przepisy; zresztą, w wydawnictwie „Życie Praktyczne” jest moja książeczka p. t. „Wędliny Domowe”, w której dałam wszystko to, czego mnie blisko dwudziestoletnia praktyka w tym kierunku nauczyła.

Tutaj mogę dać tylko wskazówki ogólniejszej natury.

Przedewszystkiem więc, chcąc mieć wędliny trwałe, należy po zaszlachtowaniu wieprza opalać go i oczyszczać ze szczeciny na sucho. Parzenie, stosowane przez masarzy, jest w zupełnej pogardzie na Kresach.

Następnie wędliny, osolone i przyrządzone według różnych przepisów (wiele dworów ma swoje tradycyjne sekrety), przed wędzeniem osusza się przez dni parę na powietrzu (w jakimś przewiewnym składzie, na strychu i t. p.), lub wieszają w wędzarni, nie dymiąc ich jednak.

Dym, w którym się wędzą wędliny, powinien być zupełnie zimny, to jest musi pochodzić nie z ogniska, palącego się płomieniem, lecz z ledwie tlejącego i kurzącego się: jałowca, gałązek choiny, wilgotnych drzazg sosnowych lub jodłowych, trocin wilgotnych i t. p. Wędliny powinny być zawieszane bardzo wysoko — na cztery do pięciu metrów nad ogniskiem — co jest o tyle łatwiejsze, że wędzą się one zwykle w olbrzymich, wysokich kominach, lub również wysokich wędzarniach.

Nie należy ich też wędzić bardzo gwałtownie: parę godzin dymienia rano i tyleż wieczorem — wystarczy zupełnie; resztę czasu mogą wisieć i obsychać bez dymu.

Wędliny trzeba wieszać do wędzenia w dzień pogodny, jasny, nawet wietrzny, co bardzo wpływa na ich trwałość. Do wędzenia używać gałęzi wilgotnych — najlepiej mieć zawsze napogotowiu wilgotne trociny, któremi można zbyt silny ogień przytłumić. Uważać jednak należy, aby ogniska zanadto nie zmoczyć: zamiast dymu otrzymalibyśmy parę i sparzyli na nie całą wędlinę.

Takie dymienie większych sztuk trwa około dwóch tygodni; mniejszym, cieńszym wystarczy dni dziesięć.

Wiatr marcowy, na którym się dosusza już uwędzone wędliny, nadaje im podobno specjalny smak i trwałość; gospodynie kresowe wystawiają w marcu na wiatr wędliny, przyrządzone nawet przed Nowym Rokiem.

Pani Elżbieta.



Dowie się Pani, wycinając kupon umieszczony obok i przesyłając pod naszym adresem (Warszawa, Bracka 25). Bezpłatnie otrzyma wówczas Pani piękny ilustrowany katalog, zawierający fotografie i szczegółowe opisy pięknych toalet damskich, przybrań, kapeluszy, torebek, obuwia, ubranek dziecięcych, garniturów i palt męskich; oprócz tego modnej bielizny i firanek, towarów białych i t. p. Katalog „Wiosna — Lato“ wysyłamy na prowincję bezpłatnie.

Odciać i przesać

Proszę o bezpłatne przesłanie Katalogu „WIOSNA - LATO“.

Imię

Nazwisko

Miejscowość

Poczta

Województwo

„Bluszcz“

472

**WARSZAWA
BRACKA 25.**

Bracia JABŁKOWSCY

PRZEPISY GOSPODARSKIE

BRUKIEW NA JARZYNE.

Ku wiośnie, gdy jarzyn w piwnicy i na targach coraz mniej, można z niezbyt lubianej brukwi zrobić bardzo smaczne danie. Niebardzo duże, niewłókniste brukwie obrać, ugotować na miękko w osolonym wrzątku, odlać, ostudzić. Pokrajać na cząstki, jak pomarańcze. Ułożyć na posmarowanym masłem, metalowym półmisku w taki sposób, aby jeden kawałek nieco na drugi zachodził, skropić obficie masłem, posypać cukrem i wstawić na kilka minut do bardzo gorącego pieca. Chodzi o to, aby cukier z masłem możliwie prędko się zrumienił.

Drugi sposób smacznego przyrządzenia brukwi jest następujący. Niewłóknistą brukiew obrać i pokrajać w kawałki rozmiaru sporego włoskiego orzecha. Ułożyć obok duszącej się pieczeni wołowej lub wieprzowej i dusić dalej razem, podlewając sosem z tej pieczeni. Brukiew ładnie się zrumieni i w nich nie będzie przypominała mdłego smaku tej jarzyny gotowanej i zapalanej mąką.

KOTLETY CIEŁĘCE Z MÓZDŻKIEM.

Jeśli mamy kotlety z mniejszego cielecia, zamiast je wybijać, lepiej zdjąć całe mięso z kości, przepuścić przez maszynkę, zbić jeszcze dobrze, aby się masa trzymała, formować kotlety cienkie i zgrabne, w każdy włożyć po kostce, utarzać w mące i usmażyć na maśle, ostrożnie przewracając specjalną łąpatką, aby się nie porzypadały. Tymczasem mózdzek cielecy, obciągnięty z błonki, ugotować, utrzeć na miseczce. Dodać utartą na tarce i przesmażoną w łyżce masła cebulę. Utrzeć to z mózdz-

kiem; gdyby było mało, dodać parę łyżek białej zaprażki z mąki, rozprowadzonej rosołem lub mlekiem, jak na zawieszisty sos; osolić, nieco popieprzyć; dobrze wymieszać. Masą tą posmarować jedną stronę kotletów, ułożyć je na brytfannie, polanej masłem od kotletów, i wstawić do gorącego pieca, aby się mózdzek zrumienił. Podać do takich kotletów cytrynę w ćwiartkach, lub czysty sos pomidorowy.

RACUSZKI Z CEBULI.

Dużą, hiszpańską lub cukrową cebulę pokrajać w cienkie krążki, grubości około pół centymetra. Tymczasem z paru żółtek, mąki, odrobiny soli i mleka lub wody zrobić ciasto nieco gęstsze, niż na naleśniki. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z ciastem. Plasterki cebuli maczać kolejno w cieście i smażyć na obficie roztopionym maśle lub szmalcu, jak się smaży racuszki z jabłkami. Cebuli nie solimy przed smażeniem, boby ciasto odwodniało, natomiast już usmażone racuszki leciuchno pudrujemy na półmisku miałką solą.

Przepis ten otrzymałam od znanej pionierki gospodarczego wykształcenia kobiet, pani Marji Karczewskiej — jest wyborny; a że nie chcę się stroić w cudze piórka, więc zaznaczam, od kogo pochodzi.

MAKARON NA PRZEKĄSKĘ.

Dwadzieścia deka parówek obgotować i pokrajać na dwucentymetrowe kawałki. Mózdzek cielecy, wymoczony i obrany z krwawej błonki, obgotować w solonej wodzie z dodatkiem łyżki octu i pokrajać w kostkę. Cynaderkę od pieczeni cielecej, wraz z nią upieczoną, pokrajać w kostkę z otaczającym ją tłuszczem. Dwadzieścia deka pieczarek oczyścić, pokrajać w grube paski, poddusić w łyżce masła z drobno usiekaną, dużą cebulą.



476

Czterdzieści deka makaronu cienkiego (spaghetti) ugotować, nie przegotowując (powinien zostać jędrny). Makaron pokrajać w dwucentymetrowe kawałki, zmieszać z garścią ostrego tartego sera i łyżką topionego masła. Wymieszać ze wszystkimi wyżej wymienionymi dodatkami i z półszklanką dobrej konserwy pomidorowej. Ułożyć w zgrabną kopułę na ogniotrwałym półmisku. Obsypać bułeczką z tartym ostrym serem, skropić masłem i wstawić w gorący piec dla zrumienienia. Podawać gorący na śniadanie, kolację, lub jako przekąskę do wódki.

BUDYŃ Z SAGO Z MORELAMI.

Suszone morele namoczyć na noc w zimnej wodzie. Do rana powinny napęcznić, jak świeże. Szklankę sago ugotować w wodzie na gęsto. Ostudzić, zmieszać z łyżką świeżego śmietankowego masła i trzema żóltkami, utartymi do białości z filiżanką cukru. Nakoniec dodać pianę, ubitą z pozostałych białek. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać bułeczką. Rzędami układać sago i morele — dobrze jest dodać parę utłuczonych pestek z moreli, lub gorzkich migdałów. Ugotować, jak zwykle, na parze, licząc od chwili zagotowania godzinę lub nieco więcej. Tymczasem kilka moreli rozgotować w dwóch szklankach wody, przetrzeć przez sito, dodać filiżankę cukru, parę pestek z moreli, lub gorzkich migdałów, łyżkę rumu, łyżkę kartoflanej mąki i zagotować razem, aby sos był zawieszisty. Podać w sosjerce do budyniu.

SLIWKI W PIANIE.

Dobre, duże śliwki suszone namoczyć w zimnej wodzie na 24 godziny. Na ćwierć kilo śliwek wziąć filiżankę cukru i szklankę jakiegokolwiek białego wina. Wolniutko udusić śliwki w winie z cukrem. Ułożyć wraz z syropem do ogniotrwałej foremki, lekko świeżem masłem wysmarowanej, ostudzić. Z czterech do pięciu świeżych białek ubić sztywną pianę, zmieszać z dwiema łyżkami cukru-pudru, utłuczonego z wanilią, pokryć tą pianą śliwki i wstawić w lekki piec dla zrumienienia. Podawać z tą samą foremką.

Pani Elżbieta.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Dla P. N. w B. — Nadesłany nam wiersz jest drobiazgiem bez poważniejszego znaczenia i wartości literackiej.

Pani Fr. Czarneckiej. — W sprawie wydania książki Aurelii Wyleżyńskiej p. t.: „W mieście świata polskie ścieżki“ — zechce Szan. Pani zwrócić się pod adresem: „Wydawnictwo Polskie R. Wegner w Poznaniu“. — Nr. 16 „Bluszczu“ z 1950 roku wysłaliśmy.

Dla A. Z. — Nadesłane nam wiersze znamionują łatwość rymowania przy skłonności używania prozaicznych i szablonowych określeń, nie zawsze liczących z nastrojem poezji.

Cykl „Biuro“ daje wierny obraz szarzyzny biurowej i psychicznego zmęczenia, ale nie zawiera niczego oryginalnego, ani w obrazowaniu, ani w ogólnej kompozycji. Najudatniejszy jest wiersz p. t. „Imię“, który może być umieszczony nie w „Bluszczu“, ale w „Kobiecie w świecie i w domu“. Czy podpisać go inicjałami? Prosimy o wiadomość. Pozostałe utwory do zwrotu po nadesłaniu znaczków pocztowych.

DO JAKIEGO PÓJŚĆ KINA W STOLICY

SWIATOWID — kino dźwiękowe, Marszałkowska 111 — wspaniały, ciekawy film „Marrocco“ — z Marleną Dietrich, Garry Cooperem i Adolfem Menjou.

STYLOWY — Marszałkowska 112 — „Na Zachodzie bez zmian“ — wstrząsający film według E. M. Remarque'a.

POLA NEGRI PALACE — Plac Teatralny. — „Na Zachodzie bez zmian“ — wstrząsający film według E. M. Remarque'a.

UCIECHA — kino dźwiękowe — Złota 72. Emil Jannings i Marlena Dietrich w filmie „Niebieski Motyl“.

SPLENDID — kino dźwiękowe — Senatorska 29. Niezrównani kochankowie — Olga Czechowa i H. A. Schlettow w filmie dźwiękowym „Trójka“.

PAN — Nowy Świat 40. „Na Zachodzie bez zmian“ — potężny film według E. M. Remarque'a.

CAPITOL — Marszałkowska 125. Zbyszko Sawan i Junosza Stępowski olśniewają swą grą w filmie polskim: „Serce na ulicy“.

HOLLYWOOD — teatrzyk dla dzieci — Hoża 29. Niedziela 12 m. 15 pp. — Bajka „O złotym zamku, sześciu łabędziach i czarodziejskim okręcie“.

HOLLYWOOD. — Dramat sensacyjno-salonowy: „Skradziony Testament“ — w roli głównej Carlo Aldini i Zygfryd Arno. — Na scenie rewja „Dowidzenia“.

KOMETA — Chłodna 29. — „Arka Noego“ — na scenie występy artystów.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.